



# pośłanie

Pismo ewangelizacyjne Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym POŚLANIE

Dałam się poprowadzić  
na głębokie wody cz. II

wywiad z s. Violetą Nicą CSSE

Święty na nasze  
czasy

Agnieszka Kozłowska



**ZRÓBCIE WSZYSTKO,  
COKOLWIEK WAM POWIE SYN**

(por. J 2,5)

## W NUMERZE:

- 1** WZYWAM CIĘ PO RAZ OSTATNII!  
świadectwo
- 7** WYPRÓBOWAĆ CUD  
Renata Czerwińska
- 10** BÓG DAŁ MI PRZEBACZYĆ  
świadectwo
- 13** ZOSTAWIŁEM REFORMY BOGU  
świadectwo
- 14** ŚWIĘTY NA NASZE CZASY  
Agnieszka Kozłowska
- 20** ŻYCIE WIARĄ W SYNA BOŻEGO  
Dagmara Krzyżanowska
- 22** \*\*\* (UCISZONA JEST DUSZA MOJA)  
Dagmara Krzyżanowska
- 23** SPOWIEDŹ - CUD MIŁOSIĘRZDIA  
BOŻEGO  
Katarzyna Ciesielska
- 24** ODKRYĆ W SOBIE DIAMENT  
Dagmara Krzyżanowska
- 26** CZY PÓJDZIESZ?  
świadectwo
- 28** DAŁAM SIĘ POPROWADZIĆ NA  
GŁĘBOKIE WODY CZ.II  
wywiad z s. Violetą Nicą CSSE

*Zróbcie wszystko,  
cokolwiek wam powie Syn (por. J 2,5)*

Maryjo, Twoja obecność blisko Jezusa w najważniejszych momentach historii zbawienia sprawia, że jesteś najwierniejszym i najbardziej wiarygodnym świadkiem tego, co wydarzyło się ponad 2000 lat temu. Poznałeś Chrystusa jak nikt inny na świecie, a Wasze serca rozumiały się jak żadne inne, dlatego wiesz, że każde nasze narodzenie się do życia w Duchu Świętym jest Jego łaską, a nie naszą zasługą. Sami również nie potrafimy kroczyć drogą wiary tak, by uniknąć błędzenia i zasadzek nieprzyjaciela. W słowie z Kany Galilejskiej dajesz nam odpowiedź, co mamy czynić, by odnaleźć spełnienie wszystkich ludzkich tęsknot: dać się prowadzić, słuchać Jego głosu, zaufać, czasem wbrew ludzkiej logice, wiernie przyłączyć się do Niego, cokolwiek by się nie działo. To On ma moc odmienić każdą sytuację, a nade wszystko przemienić nas samych. Bo tej przemiany najbardziej potrzebujemy. Maryjo, wstawiaj się za nami!

W imieniu redakcji  
*Agnieszka Kozłowska*



## ŚWIADECTWO

*„Wzywam cię do nawrócenia po raz ostatni!”. (...) Do momentu, kiedy przeczytałem to orędzie, byłem w kościele może ze dwa razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Mówiłem dzieciom, że pieniądź jest bogiem. (...) Po raz pierwszy zrozumiałem, że żyłem w grzechu śmiertelnym przez całe moje życie. W końcu dostrzegłem, jaki jestem naprawdę.*

Mam na imię Patrick. Jestem Kanadyjczykiem. Uwielbiam Hiszpanów. Bardzo lubię jeździć do Hiszpanii i do Ameryki. W styczniu tego roku byliśmy w Gwatemali, Salwadorze i Panamie. Kiedy przyjechaliśmy do Gwatemali, prezydent tego kraju poprosił mnie o wygłoszenie przemówienia do 51 osób w parlamencie podczas pierwszego posiedzenia.

Wyobrażacie sobie? Wyjaśniał mi to tak: „Ogłosiłem ten rok rokiem pokoju. Muszę zaprowadzić pokój w moim kraju. Rprezentujesz Królową Pokoju. Co Matka Najświętsza mówi? W jaki sposób zaprowadzić pokój?”. Rozmawialiśmy przez godzinę. W końcu prezydent zgodził się na wszystko, o co prosiłem: wezwał księdza i nakazał mu niezwłocznie zawierzyć Gwatemalę Matce Boskiej. Na zakończenie rozdaliśmy wszystkim różańce. Takie właśnie jest nasze życie, tym się zajmujemy.

A teraz opowiem o naszym pobycie w Medjugorje. Jak do tego doszło? To było fantastyczne. Jaką historię chcecie usłyszeć? Przyjemną czy prawdziwą?

– Prawdziwą!

Jesteście tego pewni? Na pewno? Bo to nie jest przyjemna historia!

Urodziłem się w Kanadzie. Chodziłem do katolickiej szkoły. Pewnego razu, kiedy byłem na boisku piłkarskim, nauczyciel powiedział mi, że jeśli mój ojciec nie ma pieniędzy na czesne, to nie mogę tu grać. Jeśli nie masz pieniędzy, nic ci nie wolno robić w szkole! To był koniec! Wziąłem swoje rzeczy, położyłem na biurku nauczyciela i powiedziałem, że odchodzę ze szkoły. Miałem wtedy 16 lat. Przestałem również chodzić do kościoła. Czy to była rzeczywiście katolicka szkoła?

 **posłanie**

Nr 5/93/2016

Pismo ewangelizacyjne  
Wspólnoty Odnowy w Duchu  
Świętym POSŁANIE  
działającej przy kościele  
Wniebowzięcia Najświętszej  
Maryi Panny w Toruniu

#### WYDAWCA:

Katolickie Stowarzyszenie  
Ewangelizacyjne „Posłanie”

#### PREZES STOWARZYSZENIA:

Ewa Leszczelowska

#### ASYSTENT KOŚCIELNY:

ks. prałat mgr Józef Nowakowski

#### REDAKTOR NACZELNY:

Dagmara Krzyżanowska

#### REDAKCJA PISMA:

Agnieszka Kozłowska, Renata Czerwińska

#### WSPÓŁPRACA:

Ewa Leszczelowska, Katarzyna Ciesielska

#### OPRACOWANIE GRAFICZNE I

ŁAMANIE KOMPUTEROWE:

Marta Kalniuk

#### OKŁADKI:

Marta Kalniuk

#### ZDJĘCIA NA OKŁADKACH:

Tomasz Książczak (IV)

#### KONTAKT:

wspolnota@poslanie.pl

#### ADRESY NASZYCH STRON:

www.poslanie.pl

www.facebook.com/poslanie

ISSN 1734-7602

DRUK: Drukarnia Loretańska,  
Warszawa - Rembertów

Zacząłem pracować w firmie samochodowej. Myłem samochody, byłem w tym bardzo dobry. Chodziłem tam codziennie. Wkrótce sam zacząłem sprzedawać rowery i samochody. Kupowałem samochody za bezcen i sprzedawałem je. Przesunięto mnie na stanowisko sprzedawcy samochodów. Byłem najlepszym sprzedawcą, jakiego mieli. Gdybyście przyszli do mnie, bądźcie pewni, że wyjechalibyście samochodem. Wkrótce awansowano mnie na kierownika sprzedaży, a później założyłem własną firmę handlującą samochodami. I tak zostałem biznesmenem.

Moje życie rozpoczęło się dużo wcześniej niż życie Nancy. Jestem starszy od niej. Gdy Nancy się urodziła, już sprzedawałem samochody. Miałem własną firmę, byłem przedstawicielem Hondy, BMW, Toyoty. Zatrudniałem 28 sprzedawców. Interes był fantastyczny. W ciągu dobrego dnia z moimi pracownikami mogłem sprzedać 50 samochodów. Szkoła nauczyła mnie: „Wszystko, czego potrzebujesz, to pieniądze!” – i odrobiłem to zadanie. Zająłem się robieniem pieniędzy, a w biznesie motoryzacyjnym można niezłe zarobić.

Rozodziłem się dwa razy. Ślub, zdrada, rozwód. Ślub, zdrada, rozwód. Nigdy mnie nie było w domu. Cały czas poświęcałem biznesowi. Nie dbałem o Boga, o moje małżeństwo, nie troszczyłem się o nic poza sprzedawaniem samochodów. Takie właśnie było moje życie. A jestem katolikiem! Mam czworo dzieci. Nigdy nie uczyłem ich chodzić do kościoła. Kiedy pytały mnie o Boga, brałem do ręki banknot 20-dolarowy i mówiłem: „Dzieci, to jest bóg”. Tego właśnie się uczyłem.

Kiedy poznałem Nancy, pomyślałem, że spotkałem anioła. Ona – 20 lat młodsza ode mnie, blondynka – nigdy nie była zamężna. Ideał! Dwa miesiące później mieszkaliśmy razem: bez Boga, modlitwy, kościoła, ślubu! W grzechu śmiertelnym! Nie przejmowałem się tym wcale. Ale po sześciu latach Nancy powiedziała: „Powinniśmy się pobrać.” Świetny pomysł! Powinniśmy się pobrać! Zróbmy to jutro! I zrobiliśmy. W helikopterze, na szczycie góry. Uważałem, że to fantastyczne. Jak w *Jamesie Bondzie*. Dostaliśmy dokument potwierdzający zawarcie małżeństwa i pojechaliśmy do domu. Koniec historii!

Ale nie... Nancy jest Chorwatką. Urodziła się w Zagrzebiu, stolicy Chorwacji. Jej rodzina jest katolicka od 800 lat. Pobraliśmy się w helikopterze, a ona płakała: „Nie czuję się mężatką. Chcę wziąć z tobą ślub!”. „Jak to? Przecież już się pobraliśmy.” Nancy na to: „Chcę wziąć ślub w kościele.” „Jak moglibyśmy wziąć ślub w kościele? Jestem po dwóch rozwodach. Przecież wiesz.” Nancy zdecydowała: „Jadę spotkać się z biskupem”. Odpowiedziałem: „Powodzenia!”. Pojechała do biskupa do Vancouver i zaczęła rozmowę o mnie. A on na to: „Wiem wszystko o tym panu.” Podał jej papier i powiedział: „To jest dokument stwierdzający

nieważność jego pierwszego małżeństwa. Pracowałem nad tym przez 17 lat z byłą żoną Patricka. Jest podpisany przez Watykan”. Nie miałem o tym pojęcia. Nic mnie to nie obchodziło. Biskup dał też Nancy drugi dokument, stwierdzający, że moje drugie małżeństwo nigdy nie było ważne, ponieważ nie zostało zawarte w kościele. Tak więc otrzymaliśmy od biskupa zgodę na ślub kościelny.

Następnego dnia Nancy poszła do kościoła porozmawiać z księdzem o naszym ślubie. To był kościół pod wezwaniem Niepokalanego Serca Maryi. Po powrocie oznajmiła mi, że muszę iść do parafii na spotkanie. Do chorwackiej parafii w Kanadzie! Poszedłem. Ksiądz przyjął mnie bardzo chłodno. Nie podał mi ręki na przywitanie, nie uśmiechnął się. Zwrócił się do mnie słowami: „Jesteś buntownikiem. Dwa razy się rozwodziłeś. Nie wychowujesz właściwie swoich dzieci. Wstąpiły do kościoła anglikańskiego. Wychowywały się same. Dlaczego chcesz wziąć ślub kościelny?”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: „Nancy płacze. To nie moja decyzja. Ona jest tu ekspertem.” Odpowiedział: „Udzielę wam ślubu kościelnego, ponieważ macie pozwolenie od biskupa”.



A potem zwrócił się do Nancy: „Popelniasz największy błąd w twoim życiu. On się nigdy nie zmieni. To jest najgorszy przypadek, z jakim się spotkałem.” Ksiądz wyjaśnił, że zanim dojdzie do ślubu, muszę przejść specjalne nauczanie i złożyć kilka obietnic. Poszedłem więc na ten program i złożyłem 50 obietnic: że będę sumiennym katolikiem, będę chodzić do kościoła, uczęszczać na msze, itd. Obiecałem wszystko, co chcieli. Jestem dealerem samochodowym – obiecuję profesjonalnie! Dlatego właśnie sprzedaż samochodów to mój zawód.

Nancy rozmawiała też ze swoją mamą: „Mamo, mam idealnego faceta. Jest 20 lat starszy ode mnie, ma dwie byłe żony i czworo dzieci. Chcę za niego wyjść.” Na to mama odpowiedziała: „Nie! Jeśli za niego wyjdiesz, zniszczy ci życie”. Tata Nancy też się sprzeciwił. Wszyscy powiedzieli: „Nie!” z wyjątkiem Nancy. Ona powiedziała: „Tak! Mamy pozwolenie na ślub kościelny i pobierzemy się”. I tak się właśnie stało. Dostaliśmy dokument potwierdzający, że jesteśmy małżeństwem. W ciągu tygodnia od naszego ślubu zламаłem jednak wszystkie obietnice, jakie dałem. Nie dotrzymałem żadnej! Wziąłem ślub, ponieważ Nancy

płakała. Dla mnie on nie miał znaczenia. I jakie życie wiodłem dalej? Bez Boga, bez modlitwy, bez Kościoła, bez troski o dzieci!

W tym czasie brat Nancy przysłał nam książkę. Zapytałem: „Co to jest?”. „To są orędzia z Medjugorie. Napisane przez kogoś, kto widzi Matkę Boską”. Ja na to: „Bzdura! Nikt nie może zobaczyć Matki Boskiej. Dlaczego miałbym czytać te orędzia? Nigdy nie czytałem takich rzeczy”. Nancy podała mi książkę: „Proszę, mój mężu poganinie, jeśli odrzucisz te orędzia, to obciążę twoje sumienie.” „Moje sumienie? Dlaczego to ma obciążyć moje sumienie?”. W końcu dałem się przekonać i powiedziałem: „Dobra, dobra. Przeczytam jedno orędzie, zanim wyrzucę tę książkę”. Otworzyłem ją, szukając najkrótszego orędzia, jakie mogłem znaleźć i przeczytałem: „Wzywam cię do nawrócenia po raz ostatni!”. Mamma mia! Wzywam cię! Po raz ostatni!

Do momentu, kiedy przeczytałem to orędzie, byłem w kościele może ze dwa razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Mówiłem dzieciom, że pieniądze jest bogiem. Ożeniłem się z Nancy w helikopterze. I jestem katolikiem! Zapytałem żonę: „Nancy, czy to prawda? Czy to jest autentyczne?”. Po raz pierwszy zrozumiałem, że żyłem w grzechu śmiertelnym przez całe moje życie. W końcu dostrzegłem, jaki jestem naprawdę. „Wzywam cię po raz ostatni! Właśnie cię! Dokąd zmierzasz? Dokąd zmierzasz w tym grzechu śmiertelnym? To jest droga donikąd”.

Zacząłem się zastanawiać, co robić. Wtedy dowiedziałem się o rekolekcjach takich jak te. Powiedziałem do żony: „Nancy, jest spotkanie o orędziach z Medjugorie. Jedźmy na nie!”. Nancy była w szoku. „Patrick chce jechać na rekolekcje!”. Pojechaliśmy. Weszliśmy do kościoła, słuchaliśmy, a nagle ksiądz powiedział: „Chcę, abyście zrobili dzisiaj coś specjalnego. Chcę, abyście zawierzili swoje dzieci Niepokalanemu Sercu Maryi.” Zawierzyć moje dzieci? Zapytałem po cichu Nancy: „Co sądzisz o moich dzieciach?”.

Moje dzieci to katastrofa! Najmłodszy syn został wyrzucony ze szkoły za używanie narkotyków. Dyrektor wezwał mnie do szkoły i powiedział, że wszystkie pieniądze, jakie chłopak dostaje ode mnie, wydaje na narkotyki. A syn na to: „To moje życie! Zostaw mnie!” i tak zakończył naukę. Drugi z moich synów to zawodnik drużyny rugby, ale z problemem alkoholowym. Pewnego razu tak się upił, że nie mógł znaleźć swojego samochodu na parkingu. Jak można zgubić wielki, żółty samochód marki Barracuda? Moja córka w wieku 17 lat przyszła do mnie i powiedziała: „Tato, jestem zakochana w moim chłopaku. Chcę wyjść za mąż”. „Co? Przecież masz tylko 17 lat! Nie, nie zgadzam się!”. Ale ona poszła do mamy i uzyskała jej zgodę. Matka podpisała zgodę na ślub swojej siedemnastoletniej córki, bo tamta była zakochana. Wyszła za chłopaka, którego nigdy nie widziałem.

Nie mam w ogóle pojęcia, jaki jest. Ten ślub był prawomocny. Jako osiemnastolatka urodziła dziecko, a rok później przyszła do mnie z płaczem: „Właśnie się rozwiedliśmy”. Rozwiedziona w wieku 19 lat! Co robić, kiedy dziecko się rozwodzi? Wiecie, co zrobiłem? Dałem jej samochód, kartę kredytową i powiedziałem: „Zapomnij o tym facecie. Jedź do Kalifornii i znajdź sobie kogoś innego.” Pojechała. Wróciła z Markiem i stwierdziła: „Tato, jestem zakochana w Marku. Chcemy się pobrać”. „Kto to jest Mark?”. Pobrali się i 18 miesięcy później rozwiedli. W tak młodym wieku dwa razy rozwiedziona! Pytałem ją: „Co ty wyprawiasz?”. A ona na to: „Tato, robię to, co ty”. A mój najstarszy syn? Przyszedł pewnego razu do mnie i zakomunikował, że jest gejem. „Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego?”. „Pytasz, dlaczego? Nigdy nie miałem ojca. Nigdy cię nie było w domu. Dlatego!”.

Widzicie, w czym problem? To są moje dzieci, moje dokładne kopie. Nigdy nie odmówiłem modlitwy razem z nimi, nigdy nie wziąłem ich do kościoła. Kopiowały moje życie: narkotyki, alkohol, rozwody! Czwooro dzieci – takie historie! Wyobrażacie sobie? A ksiądz mówi, że mam swoje dzieci zawierzyć Niepokalanemu Sercu Maryi. Nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Spojrzałem na figurę Maryi, która tam stała i powiedziałem: „Matko Najświętsza, weź moje dzieci i bądź dla nich rodzicem, jakim nie potrafiłem być”. Pierwsza modlitwa w moim życiu! Modliłem się do Matki Bożej, żeby wzięła moje dzieci, bo nigdy nie byłem dla nich ojcem, nie dałem im dobrego przykładu.

Spędziliśmy dwa dni na rekolekcjach i dowiedzieliśmy się wszystkiego o orędziach z Medjugorie. W pierwszym z nich Najświętsza Pani mawiała, żeby codziennie odmawiać razem różaniec, a ujrzymy cuda w swojej rodzinie. Kiedy powiedziałem żonie, żebyśmy się razem pomodlili, była naprawdę zdziwiona. W życiu nie zmówiłem żadnej modlitwy, nie umiałem tego robić. A teraz mam odmawiać różaniec, i to codziennie. Myślałem, że to będzie najtrudniejsza rzecz w życiu. Ale skoro Maryja powiedziała, że to zdziała cuda, powiedziałem żonie: „Zacznijmy odmawiać różaniec! Uwierzyłem w orędzia z Medjugorie!”

Drugie orędzie mówiło, żeby chodzić na mszę do kościoła, przynajmniej w niedzielę. Powiedziałem do Nancy: „Chodźmy na mszę”. Znowu była w szoku: nie chodziłem na Eucharystię przez 30 lat, nigdy nie wziąłem żony do kościoła, nawet w niedzielę. Tak jednak brzmiało orędzie Matki Boskiej, więc zaczęliśmy chodzić do kościoła na msze.

Trzecie orędzie zachęcało do postu. Mówiło, aby zachować post w środy i piątki, bo kiedy to robimy i modlimy się, możemy powstrzymać wojnę. Miałem własną wojnę w domu – z narkotykami, alkoholem, rozwodami... Powiedziałem więc do Nancy: „Zac-



nijmy pościć. Pragnę tej łaski dla moich dzieci, aby ta wojna się skończyła!”. Zaczęliśmy pościć i co się stało? Pokochałem Najświętszą Panią! To była łaska, którą otrzymałem.

Czwarte orędzie mówi, żeby czytać Pismo Święte. Super pomysł! Stwierdziłem, że trzeba kupić Biblię i zaczęliśmy ją codziennie czytać. Myślałem, że nareszcie prowadzę porządne życie: modłę się do Boga, chodzę na msze, poszczę, czytam Biblię. Ale przecież orędzi jest pięć.

Piąte orędzie jest najważniejsze. Brzmi ono: „Nie można rozpocząć nawrócenia bez spowiedzi”. Musiałem więc iść do spowiedzi! Ksiądz spytał, kiedy ostatni raz się spowiadałem. „W ubiegłym wieku” – odparłem – „Trzydzieści lat temu. Nie robiłem tego przez całe moje dorosłe życie”. I wyznałem księdzu grzechy z całego życia: małżeństwa, zdrady, rozwody, brak troski o dzieci, mówienie im, że pieniądze to jest bóg, ślub w helikopterze. Całe moje życie trwałem w grzechu śmiertelnym. Na zakończenie ksiądz powiedział: „Odpuszczam ci twoje grzechy”. Wszystkie moje grzechy! Rozpłakałem się i ucałowałem go! Popłakałem się w czasie spowiedzi. Byłem zszokowany, jak wielkie jest miłosierdzie Boże i jak ogromną moc ma ksiądz sprawując ten sakrament. Kto jeszcze może to zrobić? Nikt inny nie może powiedzieć: „Odpuszczam ci grzechy!” Wszystkie moje grzechy z całego życia – odpuszczone. Nie wyobrażacie sobie, jak wielką radość poczułem w moim sercu! Mogę

być zbawiony! Spowiedź ta okazała się największym cudem w moim życiu – dzięki temu, że ksiądz może odpuszczać grzechy. I wierzę dzisiaj, że kapłani są cudem Boga. Wiecie, dlaczego tak myślę? Bo to nie oni wybrali dla siebie tę drogę. To Bóg ich wezwał, a oni odpowiedzieli: „Tak”. Pan dał im moc dokonywania wielkich rzeczy. Spójrzcie, jaka to moc: ksiądz bierze chleb i przemienia go w Ciało Chrystusa. To jest nieprawdopodobne, a jednak to prawda. Nie ma na świecie większego cudu. Dzięki temu, że ksiądz może odpuszczać grzechy, moje życie zmieniło się na zawsze.

Słyszeliście o świętej Faustynie? Wiele razy objawiał się jej św. Michał Archanioł. Zapytała go pewnego razu: „Czy możesz mnie wyspowiadać?” A on odpowiedział: „Nie, nie mam tej mocy, jaką ma ksiądz. Nie mam mocy odpuszczania grzechów”. Pomyślcie – tak wielkich rzeczy mogą dokonywać tylko księża. Kapłan daje ci bilet do nieba, ponieważ spowiedź otwiera tam drzwi. Dokąd doszedłbym, żyjąc w ciągłym grzechu śmiertelnym? Dokąd by mnie to doprowadziło? Jaką miałbym szansę? Żadną. To był największy cud mojego życia.

Wszystko w moim życiu się zmieniło. Dzięki spowiedzi dostałem szansę, żeby tak się stało. Zaczęliśmy się modlić z Nancy. Wszystko jest możliwe, kiedy małżonkowie modlą się razem. Kochacie się. Jest fantastycznie. Coś się dzieje, kiedy w małżeństwie jest miejsce dla Boga. Im więcej się modlicie, tym lepsze staje się małżeństwo. We wrześniu ubiegłego

roku obchodziliśmy kolejną rocznicę naszego ślubu. Znalazłem wtedy list od Nancy, w którym napisała: „Mój kochany skarbie, mój drogocenny mężu, ukochany Paricku, dzisiaj obchodzimy dwudziestopięciolecie naszej miłości. To już dwadzieścia pięć lat, odkąd Bóg nas prowadzi, odkąd Go pokochaliśmy. Im bardziej kochamy Boga, tym wspanialsze jest nasze małżeństwo. Nasze małżeństwo stało się tak fantastyczne, ponieważ zaczęliśmy się modlić.” I najlepszy fragment, w którym bardzo poważnie Nancy napisała: „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, mój mężu, mój ukochany, moja miłości, mój sakramencie.” Sakramencie! A poniżej dopisała: „Dlaczego on? On jest najgorszym typem, jakiego spotkałam w życiu!” Wszystko to dzięki modlitwie, dzięki temu, że zaczęliśmy się modlić.

Co się stało z moimi dziećmi? Mój syn, ten wyrzucony ze szkoły, dzisiaj jest katolikiem, ma żonę i dwoje dzieci. Jest nauczycielem w szkole katolickiej. Powiedział kiedyś: „Tato, kiedy zacząłeś się modlić i zobaczyłem różaniec w twoich rękach, coś się we mnie odmieniło. Zrozumiałem, że chcę zmienić swoje życie.” To są jego słowa, nie moje. Dzisiaj wierzę: kiedy ojciec rodziny się modli, rodzina się odmienia. Dzieci wdają się w ojca. Kiedy moje życie było zwariowane, moje dzieci też były zwariowane. Kiedy postanowiliśmy z Nancy się modlić, wszystko zaczęło się zmieniać. Dużo się modliłem za dzieci – to wszystko.

Mój drugi syn, kiedy dałem mu różaniec, powiedział, że nie będzie go odmawiał, bo jest za długi. Wrócił do Kanady, a sześć miesięcy później powiedział mi: „Tato, przestałem pić. Rzuciłem rugby. Jestem strażakiem”. „Jak to możliwe? Jak dałeś radę przestać pić? Jak ci się udało dostać pracę?”. „To dzięki różańcowi, który dałeś mi w Medjugorie.” Dzisiaj jest żonaty i ma dwóch wspaniałych synków.

Życie mojej córki to była katastrofa. Przyjechała do Medjugorie trzy lata temu i powiedziała mi tak: „Tato, rozwiodłam się po raz trzeci, nie mogę przestać pić... Chodziłam do psychologów, psychiatrów, nic nie pomogli. Muszę zmienić swoje życie, nic mi nie wychodzi!”. Odparłem: „Proszę bardzo, zacznij. Jeśli nie zaczniesz, nie masz szans. To jest twoja ostatnia nadzieja. Nie ma innej drogi. Musisz wrócić do Matki Bożej i zacząć się modlić”. Zrobiła tak. Dzisiaj jest pielęgniarką w szpitalu. Żaden z jej trzech mężów nigdy nie zmówił modlitwy. Jeśli angażujesz się w związek z facetem, który się nie modli, nie wiadomo, jak małżeństwo może się utrzymać. Sam tego doświadczyłem. Nigdy się nie modliłem i dwa razy się rozwiodłem. Teraz modlimy się z Nancy i małżeństwo stało się fantastyczne.

Wyobraźcie sobie: sobota wieczór, świetny chłopak. Chcecie spędzić ten wieczór razem. Ale zanim wyjdziecie, poproś go o jedno: „Pokaż mi swój różaniec”. Możesz zaufać chłopakowi, który ma

różaniec. On jest inny. Mężczyzna, który nosi różaniec, będzie cię szanował. Kiedy rozpoczynasz związek z chłopakiem, który się modli, wiesz, co będzie później – ślub. Fantastycznie! W przeciwnym razie: rozwód, rozwód, rozwód... To jest ważna decyzja! Jeśli zaczniecie opuszczać modlitwę, nie macie szans.

Wszystko się zmieniło w moim życiu, z wyjątkiem mojego najstarszego syna. Nie mam na niego żadnego wpływu. Nie mogę nawet z nim porozmawiać. Jest niedostępny przez cały czas. Zawierzyłem go więc Matce Bożej. Skoro powiedziała, że kiedy zawieramy Jej opiece nasze dzieci, będą zbawione, to nie martwię się o niego.

Kiedy pewnego razu pojechałem do domu, do Kanady i poszedłem do mojej matki, odmówiliśmy razem różaniec i wziąłem ją na mszę do kościoła. Mama popłakała się i powiedziała: „Syn marnotrawny wrócił do domu!” Modliła się za mnie przez 48 lat. Tak wiele lat owocnej modlitwy! Modlitwa i kościół stały się całym jej życiem. Była to absolutnie najlepsza modlitwa.

Podjąłem w końcu decyzję o wyjeździe do Medjugorie i powiedziałem o tym Nancy. Zdziwiła się: „A co

zrobisz z całym tym biznesem?”. Zacząłem sprzedawać swoją firmę, wszystkie samochody, nieruchomości, łódź, dom i to, co miałem. Na zawsze. Niczego nie zostawiłem w Kanadzie. Polecieliśmy do Amsterdamu. Kiedy już wylądowaliśmy, powiedziałem do Nancy: „Mam problem.” „Jaki?”. „Gdzie jest Medjugorie?” „Nie wiesz nawet, gdzie to jest i chcesz tam zamieszkać?”. „Nancy, Matka Boska tam mieszka, więc chcę zostać Jej sąsiadem”. Było to 23 lata temu. Mieszkamy tu od tego czasu. Dzięki Matce Bożej otrzymałem łaskę, jakiej nawet nie mógłbym sobie wyobrazić, a przeczytałem tylko jedno zdanie z książki: „Wzywam cię do nawrócenia po raz ostatni!”. To zapoczątkowało przemianę mojego życia. To, co widzicie, to dom modlitwy dla księży. Zacząłem od stworzenia kuchni dla księży, później rozpocząłem budowę tego domu. To było 18 lat temu. I oto stoi. Dwóch ojców na emeryturze zamieszkało tu na stałe. Gościliśmy tu kiedyś kardynała z Westminsteru z Anglii. Zapytał mnie, dlaczego to robisz. Odpowiedziałem, że nie mam z tego domu żadnego zysku. Prowadzę go, ponieważ dzięki księdzu moje życie zostało zbawione. W ubiegłym tygodniu gościliśmy tu 80 księży z Ukrainy. Przyjeżdżają też do nas lekarze z tego kraju, którzy zawierają sobie Matce Bożej, prosząc, żeby zaprzestano aborcji. Było już u nas 800 lekarzy oddanych walce o życie nienarodzonych, pragnących skończyć z aborcją w szpitalach.

Dziękuję za waszą obecność dzisiaj. Niech was Bóg błogosławi! Czy macie jakieś pytania? Jak znaleźć chłopaka? Jak znaleźć dziewczynę? Szukajcie różańca!

– Słyszałam, że pewnego razu Matka Boża objawiła się na tej posesji. Czy to prawda?

– Tak, to prawda. Nie jeden, a 22 razy, ponieważ Maria, wizjonerka, mieszka w domu obok. Jest moją sąsiadką. Podczas widzenia Maria zawierzyła naszą posiadłość Matce Bożej i Jej Synowi. Najświętsza Pani uśmiechnęła się i powiedziała: „Cieszę się, że zawierzyliście mi to miejsce. Będę błogosławić i ochraniać wszystkich, którzy tu przybywają”. To jest specjalne orędzie dla tego domu. To jest niesamowite. Wszystkie te orędzia są niesamowite. Księża i pielgrzymi przyjeżdżają i zatrzymują się tutaj. I chyba sześć par, późniejszych małżeństw, poznało się właśnie tu (mieli przy sobie różańce). Myślę, że to jest najwspanialsze. To jest błogosławieństwo!

**Świadectwo wygłoszone 1 sierpnia 2015 r. w Medjugorie.**  
**Tłumaczenie Maria Lasek**

# Wypróbować cud

## Renata Czerwińska

Jedna z pieśni gospel zaczyna się od słów: „Jakiego przyjaciela mamy w Jezusie!”. Autor mówi w niej o wierności Boga, któremu wszystko – zarówno trudy, jak i radość – można przedstawić na modlitwie, a On się o każdą sprawę zatroszczy. Przekonali się o tym wiele wieków wcześniej młodzi z Galilei (por. J 2,1-12).

*Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów.*

Nie wiemy, czy byli rodziną Jezusa i Maryi. Przyjaciółmi? Czy któreś z młodych było sąsiadem? A może znali się z corocznych pielgrzymek do Jerozolimy? Niektórzy mówią, że apostoł Bartłomiej to właśnie pan młody z Kany. Tak czy inaczej, młodzi zaprosili Maryję i Jezusa do swojej codzienności. Przyjęli także uczniów – być może nie znali wszystkich, ale ich serca były hojne w dzieleniu się radością. Jak się później okazało, nie pożałowali tego.

*A kiedy zabrakło wina...*

Ta Ewangelia nie mówi tylko o sprawach małżeńskich. Nie tylko w rodzinach czasem brakuje wina, gdy rodzice, dzieci, kuzyni mijają się jak obcy. Czasem kruszą się przyjaźnie, nawet we wspólnotach (zwłaszcza tam jedność jest wystawiana na próbę, aby osłabić moc wspólnego głoszenia Słowa Bożego). Niejednokrotnie trudne są relacje w pracy. Nieraz pojawiają się sytuacje, których o ludzkich siłach nie umiemy przejść.

*... Matka Jezusa mówi do Niego: „Nie mają już wina”.*

Co istotne, Maryja nie mówi o problemie wszystkim przyjaciółkom naokoło, ale zwraca się wprost do Syna, do Tego, o którym wie, że może temu zaradzić. Wielu komentatorów mówi o subtelności Matki Bożej. Nie wymusza Ona niczego na Jezusie, przedstawia Mu tylko problem – ale z ogromną wiarą. Jakby to powiedziała s. Brieghe McKenna – „nie wymyśla woli Bożej”, nie kombinuje, co Pan Bóg mógłby chcieć. Ufa do końca.

*Jezus Jej odpowiedział: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?”. Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”.*

Odpowiedź Jezusa wydaje się być wymijająca, dlaczego więc Maryjamówi do sług, aby zrobili wszystko, cokolwiek powie Jezus? Dlatego, że Ona doskonale zna Jego Serce – Serce, które tak bardzo umiłowało ludzi! Przebywała z Nim trzydzieści lat, widziała, jak postępuje, co jest Jego motywacją. Doświadczyła niezwyklej opieki Boga przy zwiastowaniu, narodzeniu Jezusa, ucieczce do Egiptu i powrocie do Galilei – jak mogłaby nie wierzyć, że Bóg chce dobrze, że się zatroszczy, że nie da zginąć?



*„Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”.*

To fantastyczne słowa. Zrobić *wszystko* – to chyba wypełniać obowiązki stanu, zapraszając tam Jezusa i Maryję. Czasem atmosfera – na przykład w pracy – bywa niezwykle napięta. Święci mieli na to sposób: jednoczyli swoje trudy z Krzyżem i cierpieniami Jezusa, by Mu je ofiarować. W ten sposób przeciwstawiali się złu, osłabiali jego moc i wpływ na własne serce. Czasem obowiązków stanu może być bardzo dużo – a jednak trzeba tworzyć nawet minimalną przestrzeń, w której usłyszymy, co On do nas mówi, bo w obliczu tak wielu głosów, które docierają z zewnątrz, myśli, które krążą po głowie, możemy rozminąć się z Jego pragnieniami. *Cokolwiek powie* – Pan może wezwać do całkiem prostych (choć nieraz niełatwych) zadań: „Porozmawiaj z...”, „Odwiedź...”, „Pomódl się za...”, „Poproś o modlitwę”, „Przebacz...”. Czasem jednak mogą to być zupełnie zwariowane polecenia, jak na przykład...

*„Napełnijcie stągwie wodą!”.*

Co mogli pomyśleć słudzy? „Sytuacja jest krytyczna, a Jezus sobie żartuje? A może nie ma żadnego rozwiązania i do końca wesela będziemy pić wodę?”. Najwidoczniej jednak Jezus i Maryja są dla nich takim autorytetem, że wykonują to zadanie. Wkrótce przekonają się, że Im warto zaufać, choćby okoliczności wskazywały na coś zupełnie innego.

W Piśmie Świętym woda symbolizuje Ducha Świętego – Tego, który unosił się nad ziemią, kiedy była stwarzana (por. Rdz 1,2), Tego, który czyni wszystko nowe (por. Ps 104,30), który ożywia serca (por. Ez 36,26-27). Rzeczywiście, potrzebujemy Go tam, gdzie

wina już nie ma – w trudnych relacjach, tam, gdzie ciężko kochać i przebaczyć, tam, gdzie z różnych powodów miłość więcej kosztuje. Potrzebujemy wylać przed Panem swoją niewiarę, wątpliwości, smutek i napełnić się Duchem Świętym *aż po brzegi*.

*Potem do nich powiedział: „Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!”. Oni zaś zanieśli.*

Czasami tak jest, że nie dowierzamy Bogu. Modlimy się, ale... nawet nie zakładamy, że On mógłby coś zmienić. A Jezus tymczasem zaprasza, aby zrobić krok wiary, odcumować i wypłynąć na głębię – wypróbować cud. To nie stanie się dzięki nam – bo w Ewangelii niewidomi widzieli, głusi słyszeli, chromi zaczęli chodzić nie swoją, ale Bożą mocą – ale aby cud się wydarzył, musimy wykonać gest wiary, o który Pan prosi.

*Skosztował wody, która stała się winem.*

Sześćset litrów wina na małym weselu w Galilei – czy to nie za dużo? Nie dla Boga. On jest hojny w dawaniu (*Wiele Ty uczyniłeś swych cudów, Panie, Boże mój, a w zamiarach Twoich wobec nas nikt Ci nie dorówna* – Ps 40,6), daje więcej, niż myślimy, lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. Święty Wincenty a Paulo, zajmujący się ubogimi, więźniami, ludźmi, którzy nie mieli już nadziei na zmianę, prosząc Boga o interwencję, zwykł od razu dziękować, tak wielką miał w Nim pewność. *Błogosławiony mąż, który pokłada ufność w Panu i Pan jest jego nadzieją. Jest on podobny do drzewa zasadzonego nad wodą, co swe*

*korzenie puszcza ku strumieniowi; nie obawia się, skoro przyjdzie upał, bo utrzyma zielone liście; także w roku posuchy nie doznaje niepokoju i nie przestaje wydawać owoców* (Jr 17,7-8).

*Starosta weselny (...) nie wiedział (...), skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: „Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory”.*

Pan młody musiał być zaskoczony niezasłużoną pochwałą, ale byli słudzy, którzy z pewnością wytłumaczyli mu, co się stało. Warto słuchać świadków, którzy przypominają, co Jezus uczynił. Często są to prawdziwe cuda Bożej opatrności w życiu rodzin, drobiazgi w codzienności, o którą Pan się troszczy. O Jego niezwykłej wierności opowiadają święci. Rozważanie tej dobroci łączy się z przemianami umysłu, do czego zachęca św. Paweł (por. Rz 12,2). Dzięki temu łatwiej będzie zachować dobre wino.

*Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie.*

Bóg ma tak wiele sposobów przychodzenia do człowieka, do każdego bardzo osobiście. Przynosi nadzieję na zmianę, nowe siły, radość, nadaje kierunek życiu. Warto przechowywać pamięć o tych znakach i szczególnie w momentach strapienia przypominać

sobie Jego wierność, spotykać się z Nim częściej (tak jak zresztą zachęca św. Ignacy w regułach o rozeznawaniu duchowym), pamiętać o obietnicach, które sam złożył w Swoim Słowie: *Zaiste, o ludu, który zamieszkujesz Syjon w Jerozolimie, nie będziesz gorzko płakał. Rychło okaże ci On łaskę na głos twojej prośby. Ledwie usłyszysz, odpowie ci. Choćby ci dał Pan chleb ucisku i wodę utrapienia, twój Nauczyciel już nie odstąpi, ale oczy twoje patrzeć będą na twego Mistrza. Twoje uszy usłyszą słowa rozlegające się za tobą: „To jest droga, idźcie nią!”, gdybyś zбочzył na prawo lub na lewo* (Iz 30,19-21).

*Następnie On, Jego Matka, bracia i uczniowie Jego udali się do Kafarnaum, gdzie pozostali kilka dni.*

Maryja oraz bracia i uczniowie Jezusa w obliczu cudu „obrali najlepszą część” – nie zatrzymali się na jednym wydarzeniu, ale pozostali przy Tym, który cud uczynił. Dzięki temu mógł ich formować dalej. To właśnie w Kafarnaum, nad brzegiem Jeziora Galilejskiego niejednokrotnie nauczał i uzdrawiał Swój lud.

Przyjdź, Duchu Święty, do każdej sytuacji, w której nie mamy już wina, w której doświadczamy niemocy, braku miłości. Przyjdź i napełnij nasze życie, rodziny, pracę, miejsce, w którym mieszkamy – aż po brzegi. Zabierz smutek i przynieś nową nadzieję. Naucz nas wierzyć jak Maryja. Uzdolnij nas do wpatrywania się w Jezusa, abyśmy mogli usłyszeć i zrobić *wszystko, cokolwiek nam powie* – abyśmy zachowali *dobre wino*.



# Bóg dał mi przebaczyć

Do dzisiaj, choć mam już 42 lata, nie wiem, dlaczego moje dzieciństwo wyglądało właśnie tak. Do 10. roku życia mieszkałam z babcią i dziadkiem, a nie z rodzicami. Zaraz po ślubie rodzice zamieszkali z dziadkami, ale po około roku zaczęli budować dom w innej miejscowości i żeby nie musieli dojeżdżać codziennie po pracy, tam wynajęli pokój. Dlaczego mnie ze sobą nie zabrali? Nie mam pojęcia. Rok później urodził się mój brat, który mieszkał z rodzicami. U dziadków było mi bardzo dobrze, kochali mnie z całego serca, starali się zaspokajać każdą moją potrzebę, ale, niestety, nie byli mamą i tatą... Rodzice odwiedzali mnie co jakiś czas, częściej tata, bo dziadkowie byli jego rodzicami. Ja też jeździłam czasami do rodziców na jakiś weekend czy też w wakacje. Chyba wydawało mi się, że żyję normalnie. Problemy zaczęły się, kiedy poszłam do szkoły, ponieważ na różnych uroczystościach szkolnych nie było ze mną mamy i taty – dzieci nie wierzyły mi, że mam rodziców, mówiły, że kłamię.

Zacząłam wtedy myśleć, że jestem gorsza, że zrobiłam coś złe, bo rodzice mnie nie chcą i wciąż myślałam, co mogę zrobić, żeby to zmienić. Pamiętam, jak w trzeciej klasie szkoły podstawowej mama przyjechała na Dzień Matki – pękałam z dumy i radości, że teraz wszyscy widzą, że nie kłamałam. W tym czasie miałam już też pięciomiesięczną siostrę i bardzo chciałam mieszkać z rodzicami. Usłyszałam wtedy, że jak skończę trzecią klasę, to zamieszkać z nimi, bo ktoś musi zająć się moją siostrą. Być może zostało to powiedziane żartem, nie wiem, ale pamiętam, że moją reakcją na te słowa była nienawiść do siostry.

Mieszkając u dziadków, chodziłam do kościoła, babcia bardzo o to dbała. Mieszkaliśmy naprzeciwko kościoła, więc „zaliczałam wszystkie nabożeństwa”, bo babcia kazała.

Kiedy zamieszkałam z rodzicami, mój świat wywrócił się do góry nogami, bo, po pierwsze, nagle miałam młodszego rodzeństwo na co dzień, a nie zna-

liśmy się za bardzo, a po drugie – okazało się, że mój tata jest alkoholikiem. Nie był zbyt agresywny, w domu nie dochodziło do jakichś bójek, nie bił nas, ale zdarzały się awantury, rzucanie naczyniami, trzaskanie drzwiami, wyzwiska itp. Z bratem nie umieliśmy znaleźć wspólnego języka chyba z tego powodu, że on przebywał w tym trudnym domu wiedząc, że ja u dziadków żyję sobie jak przysłowiowy pączek w maśle i nie lubił mnie. Ja z kolei zastanawiałam się, w czym on jest ode mnie lepszy, bo jego rodzice chcieli, a mnie nie. Nienawiść do młodszej siostry przeszła mi po jakimś czasie, była słodkim bobaskiem, więc pokochałam ją mocno. Najtrudniejszą rzeczą, z którą musiałam sobie radzić mieszkając z rodzicami, była tęsknota za dziadkami i wstyd za tatę, który zaczął się zmieniać w nienawiść do niego.

Po roku okazało się, że moja mama jest chora na raka. Zmarła, gdy miałam 13 lat, brat – 11, a siostra – 3. Po śmierci mamy zamieszkała z nami babcia,

która mnie wychowywała. Niestety, zmarła po 11 miesiącach. Myślę, że nie mogła znieść tej sytuacji... Było mi strasznie ciężko, też z tego powodu, że bardziej cierpiałam po śmierci babci niż mamy. Dziadek i siostra taty zaczęli pomagać w zajmowaniu się nami i „jakoś” to życie płynęło. Cały czas zastanawiałam się, co mogę zrobić, żeby to zmienić. Wiedziałam, że Bóg jest wszechmogący i robi dobre rzeczy, więc myślałam, że kiedy zobaczy, że staram się zrobić coś dobrego, to może coś zmieni. Moja relacja z Bogiem opierała się wtedy na „zaliczaniu” obecności na niedzielnej mszy świętej i obowiązkowych nabożeństwach. Mieszkaliśmy w bardzo małej wiosce i wszyscy o sobie wszystko wiedzieli, a że chciałam robić te „dobre rzeczy”, żeby Bóg coś zmienił, to chodziłam do kościoła, uczyłam się bardzo dobrze itd. Ktoś ze znajomych namówił mnie na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy i pamiętam, jak pomyślałam sobie wtedy, że to jest jakiś sposób: pójdę i przez ten mój trud coś się zmieni.

I tak chodziłam przez ok. 10 lat. Prawie zawsze po powrocie w domu zastawałam „meline”. Było gorzej. Pojawiło się we mnie rozczarowanie i żal do Pana Boga, ale bardziej prowadziło to do myślenia, że robię za mało, za mało się staram. Kiedy miałam 16 lat, w ciągu trzech miesięcy zmarł mój dziadek i dziadkowie ze strony mamy. Został już tylko tata alkoholik, my – dzieci i nasza ciocia z synem, która pomagała nam we wszystkim. Mój tata pił coraz więcej, stracił pracę, bo trochę chorował, ostatecznie poszedł na rentę i pił dalej. Moja nienawiść do niego rosła z każdym dniem, a z drugiej strony potężne wyrzuty sumienia z powodu tego, że kiedy, na przykład, wracając ze szkoły, widziałam go pijanego, leżącego pod drzewem, przechodziłam obojętnie, jakbym go nie znała.

Skończyłam szkołę średnią i bardzo chciałam pójść na studia, na filologię polską, ale nie było to możliwe ze względów finansowych. Jednak któregoś dnia przyszedł do naszego domu jakiś chłopiec, który był ministrantem w mojej parafii i powiedział, że ksiądz proboszcz chce się ze mną zobaczyć. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie, bo mój kontakt z nim sprowadzał się do niedzielnej mszy św. i spotkania raz do roku na koleżdzie. Okazało się, że proboszcz chciał się dowiedzieć o moje plany na przyszłość i kiedy mu powiedziałam, jak to wygląda, zapytał, czy nie chciałabym pójść do Kolegium Katechetycznego w sąsiedniej miejscowości i później zostać katechetką w parafii. Byłam totalnie zaskoczona, bo nigdy nie brałam czegoś takiego pod uwagę, ale ostatecznie się zgodziłam, chyba trochę w akcie desperacji. Ksiądz proboszcz miał dla mnie podręczniki, znał datę egzaminów – wszystko było już przygotowane. Poszłam na te egzaminy, zdałam je i zaczęłam studia. Spotkałam tam również moją dawną znajomą, szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Później okazało się, że od tego momentu ona codziennie się za mnie modliła. Kiedy kończyłam drugi rok, nie radziłam już sobie z nienawiścią do taty, choć nie postrzegałam tego w kategorii grzechu. Wydawało mi się, że mam prawo do tego. W konsekwencji bardzo pielęgnowałam urazy, nie tylko te spowodowane przez tatę, ale również od innych ludzi. Często pojawiała się we mnie rozgoryczenie.

Fakt, że czytałam już wtedy Biblię, nie miał za bardzo wpływu na moje życie, bo była ona jedną z ksiąg, które trzeba przeczytać, żeby zaliczyć egzaminy. W maju 1996 roku w moim kościele miały odbywać się misje parafialne, prowadzone przez jakichś ludzi ze Słupska. Okazało się, że był to ksiądz salezjanin i ludzie ze wspólnoty charyzmatycznej, którą prowadził. W związku z przygotowaniem tego wydarzenia odbywały się wcześniej jakieś spotkania i ja jako przyszła katechetka (od września rozpoczynałam pracę w szkole) również musiałam brać w nich udział. Pamiętam, jak na jednym z nich, ludzie ci zaczęli modlić się w językach...

Nie będę pisała, co sobie o nich pomyślałam. Jednak wydarzyło się dla mnie wtedy coś nieoczekiwanego: nagle zrozumiałam, że moja nienawiść do taty jest grzechem, że chcę się z tego wypowiadać. I zrobiłam to – pierwszy raz w życiu powiedziałam szczerze przed Bogiem o tym, co czuję i że sobie z tym nie radzę. Ksiądz powiedział mi, że obowiązuje go tajemnica spowiedzi, ale jeśli się zgodzę, to on poprosi swoją wspólnotę, żeby modliła się za mojego tatę i całą naszą sytuację. Zgodziłam się, nie wierząc za bardzo, że coś się zmieni, ale pomyślałam, że raczej nie zaszkodzi. Ten czas od maja do października był jednym z najlepszych, jakie miałam z moim tatą: przestał pić, był z nami w domu, dużo się śmialiśmy, choć byłam cały czas podejrzliwa. W tym czasie też przypadkiem usłyszałam, jak mój tato chwali się mną przed swoim kolegą. Tato nie wiedział, że to słyszę, a ja stałam i musiałam zakrywać usta, żeby nie słyszał mojego płaczu. We wrześniu rozpoczęłam pracę w szkole. On czekał na mnie kilka razy z obiadem, pytał jak tam w pracy – nie umiałam się w tym odnaleźć. Pierwszego października zginął w wypadku samochodowym, pierwszy raz od kilku miesięcy dał się namówić kolegom na alkohol. Był to bardzo trudny czas dla nas

wszystkich, najbardziej dla mojej siostry, która miała wtedy 12 lat i była oczkiem w głowie tatusia. Choć przeżywaliśmy smutek, równocześnie panował w moim sercu jakiś niewytłumaczalny spokój, pocieszałam moje rodzeństwo, miałam pewność, że Bóg jest z nami, choć nie miałam jeszcze nawyku zwracania się do Niego. Bardzo pomogła mi wtedy moja przyjaciółka ze studiów, jej modlitwa i wsparcie.

Rok później zdecydowałam się pójść na Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym – nauczyłam się tam codziennej modlitwy, przeżyłam chrzest w Duchu Świętym, zaczęłam modlić się językami, ale wciąż mi czegoś brakowało, wciąż wydawało mi się, że muszę coś jeszcze zrobić dla Boga, że On nie jest ze mnie zadowolony, bo ja z siebie nie byłam. Latem 1999 roku pojechałam na rekolekcje. Podczas jednej z modlitw wstawienniczych padło pytanie, czy wybaczyłam swoim rodzicom? Nie zdawałam sobie sprawy, że to jest konieczne, ważne, szczególnie, że oboje już nie żyli. Nie miałam też pojęcia, jak trudne to będzie dla mnie. Zobaczyłam różne raniące mnie momenty, które miały miejsce, przypominały mi się słowa, obrazy z dzieciństwa i krok po kroku, sytuacja po sytuacji zaczęłam wypowiadać słowa przebaczenia. Nigdy

nie zapomnę tego, co Bóg zrobił, wolności, która po tym nastąpiła, zmiany w relacji z Jezusem. Już nie musiałam zasługiwać na Jego przychylność, zostałam na 100% przekonana o miłości Boga Ojca do mnie, tej bezwarunkowej, dla której nie muszę robić nic, żeby On mnie kochał. Niesamowite jest również to, że od tego momentu – przebaczenia rodzicom – Bóg uwolnił mnie od wszelkiego zgorzknienia, jakiegokolwiek nienawiści do ludzi. Nie potrafię już pielęgnować urazów, gniewać się na kogokolwiek, nie mam problemów z przebaczeniem. Bóg wlał w moje serce wielką radość i miłość do ludzi, szczególnie do młodzieży. Od tamtego momentu, czyli już prawie 17 lat mogę powiedzieć, że żyję naprawdę!!!

Na koniec dodam jeszcze, że moją wielką troską było to, żeby moje rodzeństwo również poznało Boga, żeby miało relację z Nim. Moja siostra poznała Jezusa, razem z mężem i dziećmi trwają przy Bogu, a brat powoli, powoli zwraca się też w Jego kierunku.

**Katarzyna**

świadek

## Zostawiłem reformy Bogu



*Lepiej się uciec do Pana,  
niżeli zaufać księżtom  
(Ps 118,9).*

Był czas w moim życiu, kiedy bardzo intensywnie zaangażowałem się w sprawy społeczne. Chodziłem na konsultacje organizowane przez miasto w różnych sprawach, snułem wizje, aby zostać radnym miasta. Układałem w głowie różnego rodzaju reformy państwowe, czyli co rządzący powinni zrobić, aby w Polsce było lepiej. Niektóre swoje przemyślenia przelałem na papier i byłem dumny z tego, co udało mi się wymyślić. Czasem nawet będąc w pracy oddawałem się rozmyśleniom na temat tego, co politycy powinni zrobić. Rozważając sytuację polskich rodzin, wymyśliłem założenia polityki prorodzinnej. Wszystko to jednak zajmowało mi dużo czasu. Oddawałem się fantazjom, a tymczasem wiele rzeczy przyziemnych leżało i wołało, aby się nimi zająć. Wiele spraw przegapiłem, bo moja głowa pełna była wzniosłych idei i reform przy jednoczesnym zaniedbywaniu obowiązków w domu i pracy. Któregoś dnia bardzo przemówiły do mnie słowa modlitwy zawierzenia Maryi, którą odmawiam codziennie. Brzmiały one: *Ty zaś wszystko możesz, co jest wolą twego Syna i zawsze zwyciężasz.* Jako że te wszystkie moje rozważania reformatorskie

zaczęły mi już ciążyć, postanowiłem prehandlować swoją reformę. Oddałem ją Bogu pod warunkiem, że On wprowadzi coś lepszego niż to, co ja wymyśliłem. Jednocześnie za pieniądze z becikowego zamówiłem nowennę mszy świętych odprawionych w święta maryjne, zawierając tę sprawę najlepszej z Matek. Potem oddałem Bogu na podobnej zasadzie inne swoje pomysły.

Dzięki temu odzyskałem spokój duszy, reformy przestały mi chodzić po głowie i zajmować czas potrzebny moim bliskim czy na pracę zawodową. Ale to tylko jeden z wielu plusów. Drugim jest to, że Bóg dotrzymał słowa i przez ostatnie cztery lata wprowadził rękami rządzących wiele zmian, które poprawiły sytuację rodzin w Polsce – w tym i mojej. Dotrzymał słowa i zainspirował pomysły lepsze niż moje. Przekonałem się, że więcej uda się przewalczyć, zawierając troski Bogu i modląc się za rządzącymi.

Teraz, gdy przychodzi mi reformy do głowy, oddaję je Panu, a w międzyczasie patrzę, co jeszcze nasz dobry Bóg wprowadza, aby zadbać o rodziny. Bo mój Tata w niebie jest ode mnie mądrzejszy i wszystko może, a ja sam biorę się za reformowanie jedyne poletka, na które mam rzeczywisty wpływ: mojego życia.

**Krzysztof**





# Święty na nasze czasy

Agnieszka Kozłowska

Niezbadane są drogi, którymi Bóg prowadzi swoich świętych nie tylko za ich życia. Kanonizowany 5 czerwca tego roku założyciel Zgromadzenia Księży Marianów, o. Stanisław Papczyński, zmarł w opinii świętości 17 września 1701 roku na Górze Kalwarii koło Warszawy. Przeszło 300 lat trwał proces wyniesienia go na ołtarze, chociaż już po jego odejściu z tego świata pojawiły się osoby zaangażowane w przygotowanie dokumentacji i świadectw potwierdzających heroiczną jego cnotę, by można było przekazać je do Watykanu. Pierwsze wysiłki przerwane zostały jednak przez zawirowania historyczne, spowodowane rozbiorem Polski i utrudnionym kontaktem z kurią rzymską. Szczęśliwie świadkowie jego życia poczynili starania, by spisywać zeznania osób, które go znały i doświadczyły działania Bożego poprzez jego posługę i cnotliwe życie. Dzięki temu proces został wznowiony w 1953 roku. W jego wyniku powstało *Positio* – zbiór dokumentacji i jej opracowań liczący około 1000 stron, który stanowił podstawę wnikliwych badań Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych nad życiorysem o. Papczyńskiego. Owoce ich ukończenia było uroczyste ogłoszenie 13 czerwca 1992 roku przez Ojca Świętego Jana Pawła II heroicznego cnoty założyciela marianów. Jednak pierwszy cud uznany przez Kongregację Spraw Świętych jako dokonany przez Boga za przyczyną o. Papczyńskiego wydarzył się dopiero w 2001 roku. Dotyczył wskrzeszenia z martwych dziecka w pierwszym trymestrze ciąży po tzw. poronieniu wewnętrznym. Czy Bóg w planach swojej Opatrzności

przewidział kilkaset lat temu tego świętego, aby dać go za patrona właśnie na nasze czasy? Prymas Stefan Wyszyński, przemawiając nad jego grobem w 1964 roku, wskazywał: *Ojciec Papczyński znał swój naród i wiedział, co jest jego mocą i siłą. Dlatego dał narodowi takie rady, które i dzisiaj są na czasie. Jego życie i postać są nadal aktualne (...), musimy go naśladować.*

## Trudne czasy

Bóg zaplanował życie św. o. Papczyńskiego w niełatwych czasach – XVII wiek to przecież w Polsce najtrudniejsze, jak wskazują historycy, stulecie. Potężna terytorialnie Rzeczpospolita Obojga Narodów wdała się w tym czasie w szereg wyniszczających wojen (z Rosją, Szwecją, Turcją i kozakami), na skutek których utraciła znaczną część swoich ziem, a wiele terenów zostało spustoszonych i ograbionych. Do tego rozwijająca się dotąd gospodarka zaczęła podupadać, pojawiły się trudności związane z niewydajną uprawą roli i pauperyzacją wsi, spadkami cen i kryzysem monetarnym. Kraj cierpiał na głód i liczne zarazy, zmalał o ponad 1/3 ludności. Właściciele ziemscy, ratując się przed spadkami cen zboża, zajęli się produkcją piwa i gorzałki, a wprowadzając przy tym propinację (zakaz warzenia alkoholu przez chłopów na korzyść rozwoju karczm, należących do ziemian), przyczynili się do rozpijania swoich poddanych i zmian mentalności społecznej. Szlachta zaś walczyła o własne

przywileje w sejmie, korzystając z możliwości, jakie dawały *liberum veto* czy wolne elekcje.

Święty Stanisław Papczyński przyszedł na świat 18 maja 1631 roku w Podegrodziu, niedaleko Nowego Sącza i tego samego dnia został ochrzczony w pobliskim kościele parafialnym, otrzymując imię Jan. Jego ojciec, Tomasz, ceniony kowal, był także sołtysem i zarządcą dóbr parafialnych. Z kolei matka, Zofia, odznaczała się wielką pobożnością maryjną i niezwykłą cierpliwością wobec, wprawdzie dobrego, pracowitego i uczciwego, ale gwałtownego męża. Jako przykład jej głębokiej wiary i gotowości do przebaczenia chrześcijańskiego podaje się historię, jak to Zofia Papczyńska, znieważona i pobita przez swego sąsiada, nie tylko darowała mu krzywdę, ale też powstrzymała zapalczywość i chęć zemsty u syna i męża, a swoją postawą złagodziła ich gniew. Atmosfera rodzinna wpłynęła więc już od młodości na przeświadczenie Jana, że wiara przekładać się musi na konkretne postawy i czyny. Od ojca wyniósł też wielką pracowitość i uczciwość, matka zaś nauczyła go głębokiej pobożności do Maryi.

Dzięki zaradności ojca siedmioletniego Jana posłano do szkół. W tamtych czasach nie było to takie częste, by rodzina chłopska zapewniała swym dzieciom edukację. Jednak okazało się, że już początki nauki przerosły możliwości intelektualne chłopca. Gdy upokorzony niepowodzeniem powrócił do domu rodzinnego, ojciec nakazał mu paść owce. W tym czasie wydarzyło się coś tajemniczego w życiu Jana, w czym biografowie dostrzegają interwencję Matki Bożej, do której ten modlił się o pomoc, po kilku tygodniach pobytu w domu nastąpiło bowiem u niego

obudzenie władz umysłowych i całkowita zmiana w podejściu do nauki. Jan w tajemnicy przed rodzicami wrócił do szkoły, w kilka godzin opanował cały alfabet i w ciągu trzech lat ukończył szkołę elementarną z dobrymi wynikami. Wówczas rozpoczął kurs szkoły średniej, *ale niespodziewanie popadł w stan niechęci do nauki i wrócił do pracy przy wypasaniu owiec. Dzieciństwo o. Papczyńskiego pozwala dostrzec, jak łaska Boża zmagala się z niestałością jego charakteru. Wycofywania się i powroty, apatia i zaangażowanie, zagubienie, samowolne, zmienne decyzje splotały się w historię wprost dramatyczną. (...) Jan wyszedł z tych zawirowań na tyle uformowany, że już w wieku 15 lat opuścił dom rodzinny, by kontynuować naukę w zakresie szkoły średniej w Podolińcu, Jarosławiu i we Lwowie, oddalonych o setki kilometrów od rodzinnego Podegrodzia.*

## Podwaliny powołania

W Podolińcu Jan Papczyński podjął naukę w niedawno powstałym kolegium, założonym przy klasztorze pijarów (pierwszym w tej części Europy). Edukację kontynuował następnie w kolegiach jezuickich. *Na szczególną uwagę zasługuje jego pobyt w 1648 r. we Lwowie, gdyż tam dotknęła go ciężka choroba. Łatwo było wówczas stać się łupem zarazy, która grasowała w okolicach Lwowa w czasie powstania Chmielnickiego niosącego pożogę i śmierć. Janek leżał prawie cztery miesiące w gorączce, a jego ciało pokrył jakiś obrzydliwy świerzb, tak że gospodarze wyrzucili go z odrazą na bruk. Odtąd błąkał się przez całą zimę po*

ulicach i żebrał o jałmużnę. W swym doświadczeniu był podobny do Łazarza, bo i jego rany lizały psy, podczas gdy ludzie odmówili mu pomocy. Ale pomoc nadeszła od Boga, który wprost cudownie położył kres jego chorobie. Świerzb i wrzody znikły bez śladu.

Jan Papczyński doświadczył też innych przeciwności zewnętrznych, choćby działań wojennych, przez które przerywał naukę. Na swoje utrzymanie musiał także zarabiać, udzielając korepetycji. Trudności wyrobiły w nim wytrwałość i silny charakter. *Uczyliły zeń człowieka zawierzenia, który wszystko zawdzięcza łasce Bożej, i zarazem męża nieustępliwego, niecofającego się przed najtrudniejszymi wyzwaniami.*

*słodczy nadprzyrodzonej kontemplacji, i tak do niej przyłgnął, że zapalony ogniem wyższej doskonałości, chciał odtąd służyć samemu Bogu i Jego Najświętszej Dziewicy Maryi.*

## Szczęście i cierpienie

Sprawiając zawód rodzicom, Jan wybrał życie zakonne. W trakcie edukacji miał kontakt ze zgromadzeniami pijarów i jezuitów – zdecydował się na wstąpienie do pierwszego z nich i tak 2 lipca 1654 roku włożył w Podolińcu na Spiszu habit, przyjmując imię



Po zakończonej edukacji (szkoła średnia i filozofia) wracał do domu jako 23-letni młodzieniec w pełni dojrzały i uformowany. Przyjmowano go z należyтым szacunkiem, gdyż takie wykształcenie wśród chłopstwa należało do rzadkości. Rodzice wypatrzyli mu właściwą kandydatkę na żonę, pannę z bogatego domu, licząc, że znajdzie spokój w gnieździe rodzinnym, po burzliwych latach nauki i tułania się po świecie. Jak się okazało, usposobienie i przymioty ducha pociągnęły go jednak ku innemu powołaniu. *Był powściągliwy w jedzeniu – pisał jego biograf, o. Kazimierz Wyszyński – oddany modlitwie, chętnie usuwał się na miejsca ustronne i tak z Bożym błogosławieństwem kosztował*

Stanisław od Jezusa i Maryi. Nowym jego patronem stał się więc św. Stanisław, biskup krakowski, *męczennik za wiarę i wolność Kościoła, nieustraszony obrońca wartości ewangelicznych. Ojciec Stanisław świadomie wstąpił na drogę obrony wartości, nieraz potem przedkładając je ponad życie.* Imiona Jezusa i Maryi odwoływały się natomiast do jego umiłowania Chrystusa Ukrzyżowanego i Maryi Niepokalanie Poczętej i nadały szczególny kierunek duchowości i powołaniu przyszłego świętego. W zakonie pijarów, który zwykł nazywać *droższym nad życie Zgromadzeniem Szkół Pobożnych* lub *najmilszym Towarzystwem Ubogich Matki Bożej*, pragnął pozostać do końca życia. Stan ten

uważał za najlepszą drogę do świętości, chociaż widział też możliwość dążenia do doskonałości u świeckich.

Od początku o. Stanisław podjął się gorliwie wypełniania swego powołania. *W pierwszym roku życia nowicjatu poczynił takie postępy w życiu zakonnym, iż z początkiem drugiego roku nowicjatu mógł być skierowany na studia teologiczne do Warszawy. Tam [...] w 1656 roku złożył trzy śluby proste – czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, a także po czterech święceniach niższych otrzymał subdiakoniat.* W pierwszych latach życia zakonnego wydawało się, że o. Papczyński odnalazł radość i spełnienie w swoim powołaniu. Szybko wyznaczono go na wykładowcę retoryki. Niegdyś sam przeżywający trudności w nauce, teraz stał się zdolnym nauczycielem, a nawet autorem 6-tomowego podręcznika retoryki, którego streszczenie doczekało się wielu wydań. *Zyskał opinię doskonałego mówcy i gorliwego duszpasterza. Pomimo jego młodego wieku, wiele wybitnych osobistości – wśród nich nuncjusz Antoni Pignatelli, przyszły papież Innocenty XII – udawało się do niego do spowiedzi, szukając porady duchowej.* Z posługi spowiednika korzystali też u niego król Jan III Sobieski oraz różni dygnitarze kościelni i świeccy. Młodemu zakonnikowi powierzono także wówczas bardzo odpowiedzialne zadanie uczestnictwa w procesie beatyfikacyjnym założyciela zakonu pijarów, Józefa Kalasantego, z którego wywiązał się doskonale, znajdując poparcie dla tej sprawy wśród wielkich ówczesnego świata.

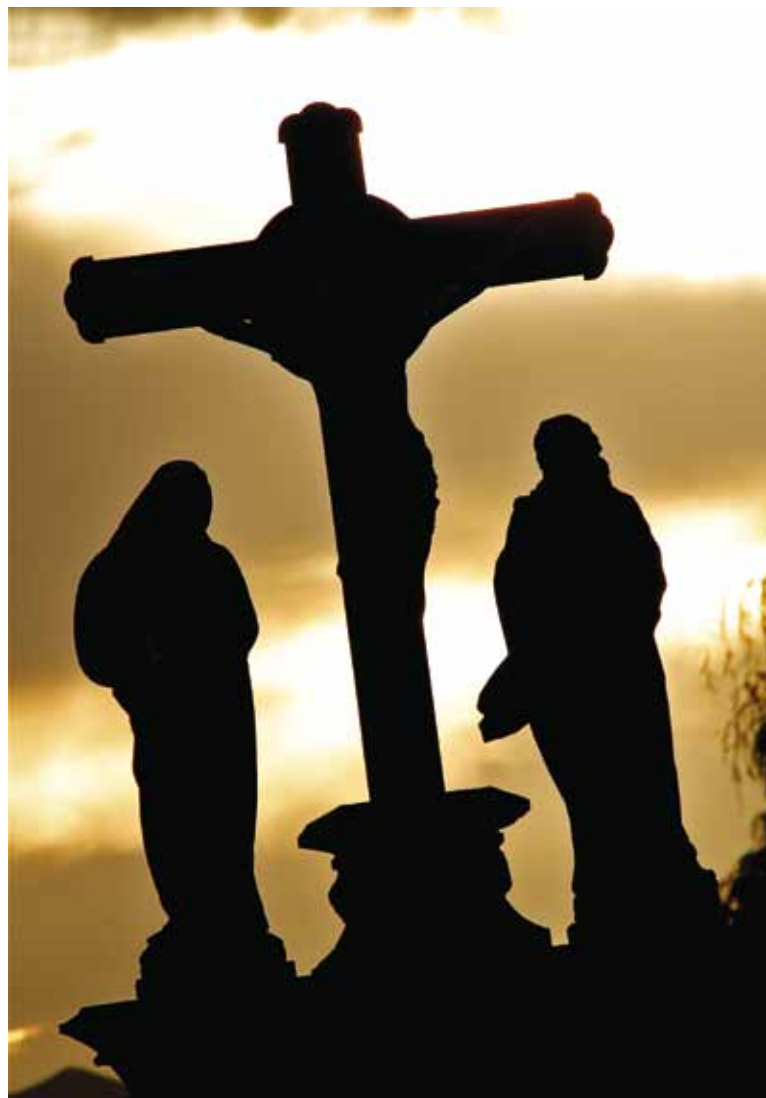
Mimo poważania, jakie miał o. Papczyński wśród duchownych i świeckich, to we własnym zgromadzeniu doświadczał przeciwności i cierpienia. Wiązało się to z konfliktem, jaki stopniowo narastał między nim a niektórymi przełożonymi, a dotyczył on jego sprzeciwu wobec coraz luźniejszych zasad życia zakonnego pijarów. Sam będąc niezwykle wierny regule i z wielką gorliwością realizujący swoje powołanie, odnosił się z jawną dezaprobatą wobec sytuacji łagodzenia lub niewierności tym zasadom. Polemika wzmogła się do tego stopnia, że poruszono jej temat podczas jednej z kapituł prowincji, a samego o. Papczyńskiego nazwano wówczas „wichrzycielem”. *Z powyższych powodów stosunki z przełożonymi zakonnymi stawały się coraz bardziej napięte, nie tyle z powodu jego nieposłuszeństwa, co stanowczości w obronie swych racji. On sam czuł się niezrozumiany, a ten okres swego życia nazywał wprost „drogą krzyżową”. Historia sporu mogłaby posłużyć za scenariusz filmu sensacyjnego: listy oskarżające o. Papczyńskiego wysyłane do nuncjusza, do generała zakonu pijarów i do władz cywilnych, wezwanie go do Rzymu, nadzwyczaj uciążliwa podróż, rehabilitacja i kolejne oskarżenia, porwanie i więzienie, kilkakrotnie ponawiana prośba o udzielenie dyspensy od ślubów prostych i na koniec pokojowe rozwiązanie sprawy, 11 grudnia 1670 roku, zwolnieniem ze ślubów*

zakonnych. Bardzo prawdopodobne, że właśnie w tamtym czasie o. Papczyński napisał dwa zbiory kazań pasyjnych: „Ukrzyżowany mówca” i „Chrystus cierpiący”, oddających doświadczenie wiary, które przeżył w tamtym czasie ich autor, zanurzając się w mękę Jezusa. *Właśnie Chrystus był jego przewodnikiem po ciernistej drodze życia i powołania, towarzyszem w momentach zwątpień i opuszczenia, mistrzem w przebaczeniu krzywdzicielom i oskarżycielom. Z rozważania męki Pańskiej o. Stanisław czerpał moc do miłości nieprzyjaciół i wierności wezwaniu Bożemu.*

## Wezwanie Boże

Odchodząc ze zgromadzenia pijarów, o. Papczyński kierował się miłością do swego zakonu. Jak podkreśla jego *Dekret o heroiczności cnót*, czynił to po to, by przywrócić pokój wśród współbraci i dla dobra zgromadzenia. Chociaż sam przeżywał wielkie rozdarcie – *kochał swoje powołanie i zakon, był zafascynowany osobą założyciela, św. Józefa Kalasantego, drogi mu był charyzmat kształcenia dzieci i młodzieży oraz życia w duchu „najwyższego ubóstwa”* – to jednak decyzja ta, okupiona cierpieniem przyniosła błogosławiony owoc. *Dalsze 30 lat życia o. Stanisława pokazały, że miłość, przywiązanie i szacunek dla pijarów nie wygasły w jego sercu i przyjęły konkretne formy kontaktów i współpracy: o. Stanisław korzystał z kierownictwa duchowego pijarów, głosił dla nich konferencje duchowe, czego owocem jest „Inspectio cordis” (Wejrzenie oczyma serca), wspierał finansowo ich placówki wychowawcze.* Wielu biografów podkreśla, że czas pobytu w Zgromadzeniu Szkół Pobożnych był konieczny w życiu o. Papczyńskiego, aby ukształtować w nim doświadczenie życia zakonnego i formację duchową. W dniu, kiedy odchodził z klasztoru, chociaż dręczony wątpliwościami, skrupułami i obawami co do przyszłości, o. Papczyński był przekonany, że Bóg ciągle wzywa go na drogę zakonną, lecz pragnie utworzenia nowego zgromadzenia, które za główny cel miałyby szerzenie kultu Niepokalanej Poczęcia Maryi. Wkrótce potem, idąc za tą myślą, przywdział na cześć Najświętszej Maryi Panny biały habit.

Posłuszeństwo prowadzeniu Bożemu kosztowało go wiele cierpienia i walk, a także przeciwności zewnętrznych, bowiem musiał odrzucić liczne propozycje współpracy ze strony innych zakonów, a nawet zaprzyjaźnionych biskupów, czym zraził do siebie wielu z nich. Wierność natchnieniom Ducha Świętego toczyła w nim walkę z ludzką słabością, kierownicy duchowi wypowiadali się na ten temat różnie, często sprzecznie, pojawiły się problemy ze sformalizowaniem zakonu, gdyż Stolica Apostolska nie była



Najświętszej Maryi Panny. Król Jan III Sobieski nadał mu przywileje królewskie, a także posiadłości, gwarantując swoją opiekę i nienaruszalność. Jednak nad nowo powstającym zgromadzeniem przetoczyło się jeszcze wiele burz i przeciwności. Kiedy rządy diecezji poznańskiej objął bp Jan Stanisław Witwicki, nieprzyjaciele zgromadzenia zaczęli oskarżać je przed arcybiskupem, który początkowo nawet dał posłuch ich oszczerczym donosom i zamierzał je rozwiązać. O. Stanisław nie bronił się i nie tłumaczył. W odpowiedzi na zarzuty zadedykował biskupowi dziełko „Chrystus cierpiący”, które było owocem jego rozważań u stóp krzyża Chrystusowego.

Przez wiele lat nie udawało się też uzyskać aprobaty Watykanu dla nowego zgromadzenia, mimo, że o. Papczyński w tym celu odbywał nawet piesze pielgrzymki do papieża. Ostatecznie dopiero tuż przed jego śmiercią, po prawie 30 latach od wystąpienia z zakonu pijarów Stolica Apostolska wyraziła zgodę na powstanie zakonu Marianów i o. Stanisław 6 czerwca 1701 roku jako pierwszy złożył śluby zakonne. Głównym celem nowego zgromadzenia było szerzenie kultu Niepokalanego Poczęcia Maryi, zaś drugim, równie ważnym – modlitwa za dusze czyścicowe. W tym celu zakonnicy zobowiązani byli do codziennej modlitwy różańcowej i brewiarza w intencji zmarłych.

skłonna do dawania zgody na powstawanie nowych kongregacji, a do tego nieliczni kandydaci okazywali się niezdolni do życia według nowej reguły. Z ludzkiego punktu widzenia pomysł erygowania nowego konwentu wydawał się szalony. W tym czasie o. Papczyński trwał w wielkiej ciemności do tego stopnia, że był już skłonny powrócić do pijarów. *Maleńkie światelko nadziei zapalił o. Franciszek Wilga, przeor klasztoru kamedułów na Bielanach w Warszawie, przyjaciel i ojciec duchowy o. Stanisława, sugerując, aby najpierw zaczął życie wspólnie z jakimkolwiek towarzyszami, a dopiero potem szukał potwierdzenia kanonicznego dla nowej wspólnoty. Tak też o. Stanisław postanowił uczynić. Wkrótce przyłączył się do grupy tzw. pustelników, zamieszkujących w Puszczy Korabiewskiej. Chociaż początki nie były łatwe, a ze wspólnoty pustelniczej pozostał tylko jeden kandydat gotowy podjąć się życia według zasad nowego zgromadzenia, to jednak sława o. Papczyńskiego przyciągała do Puszczy nowych ochotników. Biskup poznański, Stefan Wierzbowski, który od początku wspierał starania o. Papczyńskiego, 21 kwietnia 1679 roku erygował nowe Zgromadzenie Księży Marianów od Niepokalanego Poczęcia*

O. Papczyński zakazał też im spożywania alkoholu. *Świadom rosnącej wówczas plagi alkoholizmu, słowem i własnym przykładem uczył trzeźwości i wskazywał drogę do wewnętrznej wolności (List Pasterski KEP przed kanonizacją Ojca Stanisława Papczyńskiego, 29 V 2016 r.).*

### Przychyłość nieba

Cierpienia duchowe i cielesne, jakich doświadczył za swego życia o. Papczyński, owocowały głęboką więzią z Bogiem i gorliwością w wypełnianiu powołania. Wielu świadków jego życia mówiło, że o. Papczyński wielokrotnie otrzymywał od Boga łaskę przebywania w czyścicu i doświadczenia tych mąk, które dusze muszą tam wycierpieć. Po takich wizjach, darowanych mu często przy okazji sprawowania mszy za zmarłych lub w dniu ich śmierci, o. Stanisław bez słowa zamykał się na kilka dni w swojej celi, by modlić się, pokutować i pościć w intencji dusz czyścicowych. Często nawoływał: *Módlcie się za przebywającymi w czyścicu, bo nieznośnie cierpią.*

Ojciec Stanisław, towarzysząc jeszcze wojskom polskim i królowi Janowi Sobieskiemu podczas walk na Ukrainie, zwykł obchodzić pola bitew i asystować przy umierających. Wiele modlił się na mogiłach poległych. *Miał tam otrzymywać od zabitych prośbę, aby ich ratował i podał sposób ratunku. Mówili mu: nas w czyścicu większa się Rzeczypospolita znajduje, aniżeli tu, na ziemi, cierpiących wielkie i nieznośne męki. Zmiłuj się więc, Ojczy, nad nami, znajdź sposób ratowania nas.* Zgromadzenie Marianów realizować miało takie zadanie.

Ludzie byli przekonani, że o. Papczyński zyskał przychyłość nieba i przychodzili do niego, prosząc w różnych intencjach, szczególnie o łaskę zdrowia. Wysłuchanie modlitw często przypisywał wstawiennictwu św. Rafała. Jest wiele takich świadectw, które mówią o tym, że prosiły go o pomoc matki, które pragnęły uzdrowienia ich dzieci. *On zaś, biorąc od matek chore czy konające, a podobno i umarłe, wnosił do kościoła, zostawiając matki za drzwiami. Po uzdrowieniu czy ożywieniu dziecięcia przez modlitwę, wnosił je zdrowe i oddawał matkom, mówiąc: Weź to dziecię i idź precz. Zwodzisz tylko, bo to dziecię było i jest zdrowe, a ty mówisz, że jest chore. A gdy która chciała mówić, że przyniosła chore dziecko, jeszcze bardziej ją łajał.* W cnocie pokory należy upatrywać intencji, z jaką rozmawiał z ludźmi, nie chcąc, by przypisywać mu te zasługi, które wyprosił u Boga. Dlatego dziś, odbierając cześć jako święty, został uznany za patrona rodzin, dzieci nienarodzonych oraz małżeństw pragnących potomstwa.

*Wszelkie dzieła miłosierdzia podejmował z miłości do Boga i człowieka, ale też z miłości do Ojczyzny. Pisał, że przez Rzeczpospolitą należy rozumieć coś, czemu warto całkowicie się oddać i poświęcić. Jego miłość do Polski była na tyle znana, że Sejm Koronacyjny Rzeczypospolitej z 1764 r. zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o beatyfikację cudami słynącego Polaka Stanisława Papczyńskiego. Senat Rzeczypospolitej Polskiej w 2011 r. uznał go za godny naśladowania wzór Polaka oddanego sprawom Ojczyzny. Ojciec Stanisław wzywa nas dziś tak samo, jak ponad trzysta lat temu: „Prawdziwa wolność polega na przestrzeganiu praw, i to bardziej praw Boskich niż ludzkich. Narodziliśmy się nie dla samych siebie, lecz dla Ojczyzny. [...] Prawdziwych mężczyzn nam potrzeba, a nie nicponi, nie mętów społecznych. Dajcie Ojczyźnie Polaków, nie pacholków, to jest dajcie ludzi silnych, odważnych, zdolnych do wielkich wysiłków, zaprawionych do walki, przygotowanych do brania udziału w naradach. Tego, abys i ty był taki, oczekuje i domaga się Ojczyzna” (List Pasterski KEP przed kanonizacją Ojca Stanisława Papczyńskiego, 29 V 2016 r.). O. Stanisław Papczyński został beatyfikowany w 2007 r., zaś kanonizował go papież Franciszek 5 czerwca 2016 r. na Placu św. Piotra w Watykanie.*

Cytaty za: Zygmunt Proczek MIC, *Znaki świętości o. Stanisława Papczyńskiego*; Wojciech Skóra MIC, *Człowiek zawierzenia. Biografia duchowa o. Stanisława Papczyńskiego*; [www.stanislawpapczynski.org](http://www.stanislawpapczynski.org)



# Życie wiarą w Syna Bożego

*Tymczasem ja dla Prawa umarłem przez Prawo, aby żyć dla Boga: razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża. Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie (Ga 2,19-20).*

## Zanurzeni w śmierci Jezusa

Św. Paweł w sposób bardzo syntetyczny streścił w tych słowach istotę życia chrześcijańskiego. Zbyt często myślimy, że takie horyzonty nie są dla nas, a jedynie dla wielkich świętych, mistyków. Tymczasem nie zdajemy sobie na ogół sprawy z tego, że każdy ochrzczony został zanurzony w tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Jezusa. *Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w*

*Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie (Rz 6,3-5). Chrzest święty, ten podstawowy sakrament życia chrześcijańskiego, wyprowadza nas z ciemności grzechu i wprowadza na drogę ku świętości. Sprawy te są dla nas zakryte z racji przyjęcia go zwykle w wieku niemowlęcym. Dopiero w dorosłym życiu, szukając zrozumienia swojej wiary i dokonując świadomych wyborów, zaczynamy doświadczać nowego życia w Chrystusie. *To wiedźcie, że dla zniszczenia grzesznego ciała dawny nasz człowiek został razem z Nim ukrzyżowany po to, byśmy już więcej nie byli w niewoli grzechu. Kto bowiem umarł, stał się wolny od grzechu. Otóż, jeżeli umarliśmy razem z Chrystusem, wierzymy, że z Nim również żyć**

*będziemy, wiedząc, że Chrystus, powstawszy z martwych, już więcej nie umiera, śmierć nad Nim nie ma już władzy. Bo to, że umarł, umarł dla grzechu tylko raz, a że żyje, żyje dla Boga. Tak i wy rozumieście, że umarliście dla grzechu, żyjecie zaś dla Boga w Chrystusie Jezusie (Rz 6,6-11). Zostaliśmy zatem odrodzeni w sakramencie chrztu świętego i wezwani do świętości jako dzieci Boże.*

## Odkryć rzeczywistość krzyża

Zwykle mija wiele lat od przyjęcia faktu śmierci krzyżowej Chrystusa dla naszego zbawienia do odkrycia tej rzeczywistości w indywidualnym wymiarze i osobistym powołaniu każdego z nas. Im bardziej przez miłość jednoczymy się z Jezusem, tym głębiej wchodzimy w tajemnicę Krzyża. Nie tylko poprzez chrzest zostaliśmy przybici wraz z naszymi grzechami do Jego Krzyża, ale ciągle możemy doświadczać tego włączenia w misterium zbawiania siebie i innych poprzez cierpienie. Nie chodzi więc wyłącznie o jednorazowy akt, ale ustawiczny proces umierania dla siebie, aby

rodzić się do nowego życia. *Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele. Ciągłe bowiem jesteśmy wydawani na śmierć z powodu Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym śmiertelnym ciele (2 Kor 4,10-11).* Przez cierpienie coraz bardziej zostajemy oczyszczeni i umniejszeni, przez co Chrystus coraz pełniej może brać nas w Swoje posiadanie i przez nas działać. Nie chodzi bowiem o to, co możemy uczynić dla Boga, ale aby On sam mógł posługiwać się nami, tak jak tego pragnie. Dla wielu wydaje się to zbyt trudne, gdyż zakłada pierwszeństwo Bożej inicjatywy przed ludzkim działaniem. Dlatego w historii Kościoła jest tak wiele wybranych dusz małych, nic nie znaczących w oczach świata, poprzez które objawia się Jego moc. Zgodzić się na bycie przybitym z Chrystusem do Krzyża daje człowiekowi wielką wolność wewnętrzną. Nie jest to proste, ale możliwe do osiągnięcia przy naszej cierpliwiej i stałej współpracy z łaską Bożą.

## Pozwolić, by żył w nas Chrystus

Człowiek, który z racji skażonej natury dąży do tego, aby być kimś, stanowić więcej niż inni, postępując drogą świętości, dochodzi do odkrycia prawdy, którą Jan Chrzciciel wyraził słowami: *Potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał (J 3,30)*. Proces obumierania dla siebie poszerza w nas, z jednej strony, obszar wolności, z drugiej – daje przestrzeń dla Boga. Jezus przenika nasze myślenie, uczucia, postępowanie. Coraz mniej jest nas samych i naszych egoistycznych dążeń, a coraz więcej Jego światła i sposobu działania. Nie muszą temu towarzyszyć jakieś nadzwyczajne łaski, po prostu stopniowo stajemy się Jego narzędziem, nie zastanawiając się nawet nad tym, w jaki sposób On posługuje się nami. Droga miłości, którą kroczyli święci Karmelu i do czego zachęcają wciąż wielu, jest najkrótszą do osiągnięcia tego celu. To ona pomaga nam oderwać się od siebie, by wpatrywać się w Umilowanego, adorować Jego, a nie koncentrować się na własnej słabości czy żądzy wielkości. Miłość sprawia, że dzielimy Jego pragnienia, dając się prowadzić – nawet wbrew naturalnemu oporowi przed cierpieniem – do wydania siebie dla pozyskania innych. Ona sprawia, że możemy przekonać się o prawdziwości zapewnienia Jezusa: *(...) jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie (Mt 11,30)*.

## Żyć wiarą w Syna Bożego

Proces obumierania dla siebie i rodzenia się do nowego życia trwa, dopóki jesteśmy na tym świecie. Jednak w którymś momencie dochodzimy do etapu, gdy sprawy Boże stają się ważniejsze od nas samych i naszych planów. Odtąd zaczyna się nasz udział w misji głoszenia Dobrej Nowiny. Wraz z Jezusem, który został posłany przez Ojca i namaszczonej mocą z wysoka, odnajdujemy się w tym samym nurcie, by szerzyć królestwo Boże na ziemi. Wszystko zostaje podporządkowane Jego planom, niezależnie od tego, czy czujemy się już gotowi lub godni. Na tej płaszczyźnie przecinają się dwa wezwania: do osobistego uświęcenia i do służby innym. Nie możemy czekać, aż zostaniemy przemienieni na tyle, że zechcemy zaangażować się w dzieło ewangelizacji. Nawet jeśli jesteśmy na początku drogi, możemy postępować wzorem Jezusa, *który nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu (Mt 20,28)*. Wiara w Syna Bożego, który z miłości umarł za nas, niech przenika całe nasze życie i wysiłki, aby naśladować Go we wszystkim. Niech prowadzi nas do całkowitego ogołocenia, abyśmy za św. Pawłem mogli wyznać: *Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus.*

\*\*\*

uciszona jest dusza moja  
nawet gdy wokół szaleje burza  
ukryta w Twoich ranach  
opieczątowana zbawczą Krwią

uciszona jest moja dusza  
nawet gdy emocje sięgają zenitu  
nasłuchując Twoich słów  
oddycha błogim pokojem

uciszona jest dusza moja  
nawet gdy ciało upada  
pod ciężarem krzyża pracy  
ufnie powierza się Tobie

uciszona jest dusza moja  
nawet gdy tyle obojętności  
i zagubienia w świecie  
ofiarną miłość składa Tobie

Dagmara Krzyżanowska

Katarzyna Ciesielska

człowiekiem. Zaciemnieniu ulega rzeczywistość, w której żyjemy, przygniatać mogą nas codzienne sprawy, niecierpliwie obowiązki i zatracamy zdolność słuchania delikatnych poruszeń Ducha Świętego. Dlatego, jak zauważa święta Faustyna: (...) *dusza nasza potrzebuje ciągłego wychowania, jak małe dziecko. O Jezus mój, rozumiem głęboko te słowa i wiem z doświadczenia, że dusza o własnych siłach daleko nie zajdzie, wiele się natrudzi, nic dla chwały Bożej nie robi, błędzi ustawicznie, ponieważ umysł nasz jest ciemny i nie umie rozeznąć własnej sprawy* (Dz 377). Miejscem naszego uleczenia, ale i wychowania jest właśnie spowiedź.

Poprzez sakrament pojednania powracamy do życia w łasce. Uzdalnia nas on do rozpoczynania na nowo i podążania w świetle. *Serce człowieka jest ociężałe i zatwardziałe. Trzeba, by Bóg dał człowiekowi serce nowe. Nawrócenie jest najpierw dziełem łaski Boga, który sprawia, że nasze serca wracają do Niego: „Nawróć nas, Panie, do Ciebie wrócimy” (Lm 5,21). Bóg daje nam siłę zaczywania od nowa. Odkrywając*

# Spowiedź - cud miłosierdzia Bożego

Jezus w Swoim miłosierdziu dał nam wielki dar spowiedzi świętej. W sakramencie tym doświadczamy żywej obecności Boga, który przez moc Swojej Krwi uwalnia nas z niewoli grzechu i przywraca wolność dziecka Bożego. Spowiedź jest ratunkiem nie tylko dla zatwardziałych grzeszników, ale dla każdego, kto także przez grzechy powszednie osłabia swoją więź z Jezusem. Świętej Faustynie Jezus polecił: *Powiedz duszom, gdzie mają szukać pociech, to jest w trybunale miłosierdzia [czyli w sakramencie pokuty]; tam są największe cuda, które się nieustannie powtarzają. Aby zyskać ten cud, nie trzeba odprawić dalekiej pielgrzymki ani też składać jakichś zewnętrznych obrzędów, ale wystarczy przystąpić do stóp zastępcy Mojego z wiarą i powiedzieć mu nędzę swoją, a cud miłosierdzia Bożego okaże się w całej pełni. Choćby dusza była jak trup rozkładająca się i choćby po ludzku już nie było wskrzeszenia, i wszystko już stracone – nie tak jest po Bożemu, cud miłosierdzia Bożego wskrzesza tę duszę w całej pełni. O biedni, którzy nie korzystają z tego cudu miłosierdzia Bożego; na darmo będziecie wolać, ale będzie już za późno* (Dz 1448).

W codziennym zabieganiu, rozlicznych troskach ulegamy pokusom i swojej słabości. Bez odnawiania i oczyszczania duszy w sakramencie pojednania łatwo zagubić się, zatracić bliskość z Jezusem i drugim

*wielkość miłości Boga, nasze serce zostaje wstrząśnięte grozą i ciężarem grzechu; zaczyna obawiać się, by nie obrazić Boga grzechem i nie oddalić się od Niego. Serce ludzkie nawraca się, patrząc na Tego, którego zraniły nasze grzechy* (KKK 1432).

Potrzebujemy czerpać ze źródła miłosierdzia, by nie ustawać w walce duchowej. Sakrament pokuty i pojednania, w którym spotykamy się z miłosiernym Panem, jest potężną bronią. Potrzeba, byśmy się jej chwytni, by nie ustawać i nie zawracać na drodze wiary: *Napród! Niech się dzieje, co chce! Trzymaj się mocno ręki Pana i pamiętaj, że Bóg nigdy nie przegrywa bitew. Jeżeli kiedykolwiek oddalisz się od Niego, powróć z pokorą i zacznij od początku; bądź jak powracający syn marnotrawny, codziennie, nawet wielokrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin doby; uładź swoje skruszone serce w spowiedzi, tym prawdziwym cudzie Miłości Bożej. W tym cudownym sakramencie Pan oczyszcza twoją duszę i napawa cię radością i siłą, byś nie osłabł w walce i niestrudzenie powracał do Boga, nawet gdyby wszystko zdawało ci się ciemnością. Nadto broni cię Matka Boża, która jest także naszą Matką; Jej macierzyńska opieka utwierdzi twe kroki* (św. Jose Maria Escriva, *Przyjaciele Boga*).

# ODKRYĆ W SOBIE DIAMENT



*Przedstawiła mi się dusza nasza jako twierdza cała z jednego diamentu albo na wskroś przejrzystego kryształu, podzielona na wiele rozmaitych komnat, podobnie jak i w niebie mieszkań jest wiele. Bo w istocie, siostry, jeśli dobrze rzecz zważymy, dusza sprawiedliwego nie jest niczym innym jak prawdziwym rajem, w którym, jak Pan mówi, z radością przebywa. Jakież bowiem, powiedzcie same, musi być to mieszkanie, w którym Król tak potężny, tak mądry, tak precyzyjny, tak dobra wszelkiego pełny rozkosz dla siebie znajduje? Daremnie szukam i nic nie znajduję, do czego by można było porównać przedziwną piękność i ogromną pojemność duszy ludzkiej. I w rzeczy samej, jak umysł nasz, jakkolwiek by był bystry, nie zdoła pojąć Boga, tak również ledwo może pojąć wielkość duszy, którą Bóg, jak nam to własnym słowem swoim oznajmia, stworzył na swój obraz i podobną sobie. A jeżeli tak jest w istocie, na próżno trudziłibyśmy się, chcąc zrozumieć w zupełności całą piękność tej twierdzy; bo jakkolwiek między duszą stworzoną a Bogiem taka zachodzi*

*różnica, jak pomiędzy Stwórcą a stworzeniem, dość przecie tego, co nam Pan mówi, iż stworzona jest na podobieństwo Jego, abyśmy zrozumieli, że nie zdołamy pojąć tak wielkiej piękności i godności duszy ludzkiej. (św. Teresa od Jezusa, Twierdza wewnętrzna)*

Św. Teresa od Jezusa pod koniec życia napisała szereg dzieł, dzieląc się w nich swoim doświadczeniem z duchowymi córkami założonego przez siebie zakonu karmelitańskiego o zreformowanej regule. W *Twierdzy wewnętrznej* opisała etapy życia modlitwy i rozwoju duchowego aż do zjednoczenia z Bogiem. Podczas gdy św. Jan od Krzyża posłużył się opisem drogi na Górę Karmel, św. Teresa odwołała się do dobrze znanego sobie obrazu. Jej rodzinne miasto, Avila, wykute z kamieni, lśniące w słońcu, otoczone murami i basztami, samo przypomina twierdzę. Rozwój wewnętrzny porównuje ona do przechodzenia przez siedem komnat (mieszkań), by dotrzeć do najważniejszej, w której przebywa Bóg. Zważmy teraz, że twierdza ta ma wiele

*różnych mieszkań, jedne na górze, drugie na dole, jedne po bokach, drugie we wnętrzu gmachu, a w samym środku tych mieszkań jest jedno najważniejsze, w którym zachodzą najbardziej tajemne rzeczy pomiędzy Bogiem a duszą. Potrzeba, córki, byście dobrze zachowały w pamięci to porównanie; może za pomocą jego spodoba się Bogu dać wam niejakię poznanie łask, jakich On raczy używać duszom i różne ich rodzaje, o ile poznanie ich jest dla nas rzeczą możliwą. Jednak nie chodzi tu o przechodzenie linearne z jednej do drugiej komnaty, gdyż życie duchowe jest o wiele bardziej bogate i złożone. Mieszkania te macie sobie przedstawiać nie jedno za drugim, jakby szereg komnat rzędem się ciągnących, ale raczej sięgajcie okiem do środka, gdzie jest komnata główna albo pałac, kędy król przebywa. Podobnie jak owoc palmowy osłonięty jest warstwami powłok, przez które przebić się trzeba, chcąc się dostać do ukrytego w środku słodkiego jądra, tak tu owa główna komnata otoczona jest mnóstwem innych, dokoła niej, nad nią i pod nią leżących.*

Punktem wyjścia do podjęcia tej niezwykle wędrowki ku Bogu jest uświadomienie sobie wielkości posiadanej duszy, w której On mieszka. Nie chodzi bowiem o to, by szukać Boga gdzieś poza sobą, ale by odnaleźć Go we własnym wnętrzu. Człowiek pogrążony w sprawach doczesnych, pędzący ciągle naprzód w realizowaniu swoim marzeń, często nie zastanawia się nad sobą, ma też ogromny problem z usłyszeniem głosu Boga w swoim sercu. Dlatego warto zatrzymać się nad tym obrazem twierdzy zakreślonym przed nami przez św. Teresę, aby odkryć w sobie diament własnej duszy. *Wiele jest dusz, które przebywają w zewnętrznym tylko ogrodzeniu, tam, gdzie stoi straż strzegąca twierdzy i ani im w myśli wnijść do wnętrza i zobaczyć, co też tam jest w tym wspaniałym pałacu i jakie w nim są mieszkania. Czytałyście pewno nieraz w księgach duchowych tę radę, że potrzeba duszy wejść w siebie; otóż tu właśnie o to chodzi. Nadmierne zatroskanie o dobra materialne, o zdobycie pozycji w świecie, czy zaspokojenie potrzeb uczuciowych sprawiają, że człowiek zapomina o tym, że ma nieśmiertelną duszę, a jego ostatecznym przeznaczeniem jest bycie z Bogiem w wieczności. Rzeczy dotyczące duszy trzeba przedstawiać sobie jako wielkie, potężne i wspaniałe, bo rzeczywistość objętość i pojemność duszy o wiele jest większą niż sobie wyobrazić zdołamy, a do wszystkich niezliczonych jej mieszkań przenika światłością swoją ono słońce, mieszkające w środku tego pałacu. Światłem, które rozświetla ludzką duszę, czyniąc ją piękną jak lśniący diament, jest sam Bóg. On jedynie jest światłem, a poza Nim panuje tylko ciemność. Taką też staje się dusza tych, którzy pogrążeni są w grzechach. Dlatego przeciwnik naszego zbawienia robi wszystko, aby zatrzymać człowieka w stanie upadku, aby ani myśleć nie chciał on nad szukaniem wyjścia ku światłu, ale zadowolił się ciemnościami, w których właśnie szatan przebywa. Kto natomiast zrywa z grzechem i wchodzi na drogę nawrócenia, ma szansę wejścia w ten cudowny świat Bożej rzeczywistości, która nie zna końca.*

Święta Teresa od Jezusa po nakreśleniu wielkości naszej duszy zachęcała do przekroczenia murów twierdzy i wejścia do środka. *Bramą więc, którą się wchodzi do tej twierdzy, jest, o ile ja rzecz rozumiem, modlitwa i rozważanie. Nie obstać tu koniecznie za modlitwą myślną, może być i ustna, gdyż jednej i drugiej, jeśli ma być modlitwą, musi towarzyszyć uwaga. Widzimy zatem, że bez modlitwy nie możemy wzrastać, to ona pomaga nam w poznawaniu siebie i Boga. Dlatego komu nie wystarcza już to, co osiągnął w życiu duchowym, niech wie, że ma przed sobą znacznie więcej, niż przypuszcza, czy się spodziewa. Niech pójdzie za przykładem świętych, aby odkrywać niekończące się horyzonty i głębie własnej duszy oraz mieszkającego w niej Boga.*

# Czy pójdziesz?



Polski i za dar wytrwania w wierze. Uderzyły mnie te słowa, bo czy rzeczywiście jest tak dobrze? Jak wielu ludzi wokół mnie nie zna Chrystusa? Kolega jechał na czuwanie i mszę z papieżem do Krakowa, a w jego pracy dziwiono się, że coś takiego tam się dzieje. W jednym z toruńskich magazynów informacyjnych nie było ani słowa o tym, że w weekend w naszym mieście trwały

że Bóg ma dla każdego z nas plan, zadanie, chce otwierać nowe horyzonty, a wreszcie – posyłać. Co więcej: *kiedy Pan nas wzywa, nie myśli o tym, kim jesteśmy, kim byliśmy, co zrobiliśmy lub czego nie zrobiliśmy. Wręcz przeciwnie: w chwili, kiedy nas wzywa, patrzy na wszystko, co moglibyśmy zrobić, na całą miłość, jaką jesteśmy w stanie rozsiewać. (...) Dzisiaj Jezus, który jest drogą, wzywa ciebie do pozostawienia swojego śladu w historii. On, który jest życiem, zachęca ciebie do zostawienia śladu, który wypełni życiem twoją historię, a także dzieje wielu innych ludzi. On, który jest prawdą, zaprasza ciebie do porzucenia dróg separacji, podziału, bezsensu. Czy pójdziesz? Co twoje ręce i nogi odpowiedzą Panu, który jest drogą, prawdą i życiem?*

Renata



Myśl o tym, co działo się podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, a wcześniej w naszej diecezji, wywołuje we mnie falę wdzięczności. Podczas kilku lat przygotowań do tego wydarzenia powstały w naszej diecezji wspólnoty młodzieżowe – niektóre z nich angażują się w ewangelizację bardziej, inne mniej, ale najważniejsze, że młodzi mogą w nich odkrywać piękno swojej wiary. Cykliczne wieczory chwały odbywały się nie tylko w Toruniu, ale i w małych miejscowościach, takich jak Górzno czy Unisław.

Przez kilka lipcowych dni diecezję i sam Toruń zalała młodzież z różnych stron: roztańczeni Gabończycy, Chińczycy z Hong Kongu śpiewający po polsku *Nie ma takiego jak Jezus*, Zambijczycy podczas Eucharystii niosący w darach kurę i coca-cole, Australijczycy cieszący się, że na końcu świata (czyli w Polsce) „śpiewają to samo, co my!”... Można było rozradować się pięknem i różnorodnością Kościoła. Miałam też wieści od znajomych mieszkających w różnych diecezjach, którzy czasem w bardzo skromnych warunkach dzielili się noclegiem z przybyszami i otrzymywali przy tym dużo radości, a nawet... swoiste rekolekcje o miłosierdziu Bożym. U pewnego małżeństwa nocowały dwie młode Francuzki. Mija 23.00, 23.15, 23.25, a ich wciąż nie ma. Małżonkowie kontaktują się z innymi rodzinami w parafii – tam już wszyscy goście są. Nagle telefon – ktoś spotkał na ulicy jedną z dziewcząt. Żona jedzie po

Clothilde, mąż zostaje w domu, aby czekać na Suzanne. Tymczasem okazuje się, że dziewczyny się rozdzieliły, a w dodatku ta pierwsza ma komórkę koleżanki. Co teraz? Jak poradzi sobie dwudziestolatka w obcym mieście, w nocy, nie znając języka? Nagle mąż dzwoni, że Suzanne już jest, przyjechała taksówką – dziwnym trafem zapamiętała, gdzie ma jechać, a chociaż taksówkarz nie znał ani francuskiego, ani angielskiego, znaleźli się nagle (w środku nocy!) jacyś ludzie, którzy znali te języki i wytłumaczyli mu drogę. A małżonkowie stwierdzili, że chyba rozumieją, co czuje Bóg, kiedy człowiek do Niego wraca – nieważne, jak się tłumaczy, jak przeprasza, jak jest mu głupio: najważniejsze, że wrócił!

Miałam możliwość uczestniczyć we mszy świętej sprawowanej przez papieża Franciszka w Częstochowie. Mimo trudów wylewał się pokój, radość, właściwie nawet dwugodzinne stanie na bramkach i czekanie, aż nas wpuszczą, nie przeszkadzało. Mojego pierwszego spotkania z Ojcem Świętym – wtedy Janem Pawłem II – nie pamiętam. Na drugie spotkanie – też z Janem Pawłem – poszłam, ale to były moje początki we wspólnocie, kiedy miałam w sobie raczej antykościelne nastroje. A teraz, po kilkunastu latach, było zupełnie inaczej: jestem zakochana w Kościele i chcę słuchać tego, co mówi do mnie mój Pasterz. Nawrócenie to ogromny dar Bożego miłosierdzia.

Msza św. w Częstochowie była sprawowana właśnie w intencji dziękczynienia za 1050. rocznicę chrztu

ŚDM, że przyjechały tłumy ludzi z całego świata, że w piątek i w sobotę miały miejsce czuwania modlitewne (kiedy turyści z Niemiec zobaczyli pełen kościół młodych ludzi, najpierw przystanęli ze zdziwieniem, a potem zaczęli robić zdjęcia), koncerty, przedstawienia – za to pisano o festiwalu baniek mydlanych, pokemonach i sanatorium w pobliskim miasteczku. Jak więc mam mówić o Bogu, jak świadczyć o Nim w świecie, który wydaje się być tym mało zainteresowany?

Okazja nadarzyła się niezwykle szybko – otóż na widok służb mundurowych, chroniących pielgrzymów na wałach, włączył mi się „apostolat uśmiechu”. Nie poznawałam samej siebie, bo kiedyś miałam nieprzyjemne doświadczenia z ochroniarzami w sklepach, widziałam też nieraz w tramwajach czy autobusach kontrolerów, którzy zachowywali się wyjątkowo agresywnie – więc i mój stosunek do służb mundurowych był dość zdystansowany. Tymczasem teraz, wychodząc z sektora, miałam ogromną ochotę podziękować im za ich pracę – przynajmniej serdecznym uśmiechem, bo nie wiem, czy usłyszeli słowa. Wiem też, że wiele innych osób miało podobne doświadczenie.

Wizytę Ojca Świętego w Krakowie mogłam śledzić tylko przez media, ale jego słowa były poruszające. Co mówił? Zapewniał między innymi,



# DAŁAM SIĘ POPROWADZIĆ NA GŁĘBOKIE WODY

O MISJACH W BOLIWI Z S. VIOLETĄ NICA

ze Zgromadzenia Sióstr Świętej Elżbiety rozmawia

AGNIESZKA KOZŁOWSKA

**Co Siostrę uderzyło w sensie pozytywnym w obserwacji ludności w Boliwii? Czego nie ma w Polsce, a tam rozkwita?**

Na pewno, łącząc się z misjonarzami, mogę powiedzieć, że zawsze, gdy się spotykamy z miejscowymi, następuje demonstracja wiary. Oni się nie wstydzą, potrafią mówić o Panu Bogu, zapytać o coś. Tutaj, w Polsce, nikt mnie nigdy nie spytał, nawet na spotkaniach powołaniowych, kim jest dla mnie Jezus, że zostawiłam wszystko, by pójść do klasztoru, a potem wyjechać na misje. Dlaczego chodzimy w czarnych sutannach, habitach? Dlaczego ksiądz nie ma żony? A gdzie jest twój mąż, czy też przyjedzie? Kiedy przybieramy do plemion indiańskich w dżungli na ewangelizację – oni to bardzo lubią, zapraszają nas

– to zaraz pytają, gdzie jest mój mąż. Nikt nie nazwie mnie czarownicą czy księdza gejem, nie pada żaden wulgaryzm czy wyśmiewanie. Tam osoba duchowna rzeczywiście ma jakąś rangę, przede wszystkim dlatego, że jest blisko Pana Boga. Oni dobrze znają swoją grzeszność. Medalik, to, co poświęcone, ma dla nich wartość. Trochę inaczej rozumieją Ofiarę mszy świętej. W starych wierzeniach indiańskich składali ofiary z ludzi, potem z płodów – lam, kotów – i robią to do tej pory. Cały czas to przerabiamy, że Pan Jezus oddał za nas ostateczną ofiarę. Msza święta jest dla nich jakąś tajemnicą, czują to. Wierzą w magię, wróżby, są na to bardzo wyczuleni, ale inaczej rozumieją i nie będą się śmiać z diabła, bawić nim. Wszędzie mają wizerunki Matki Bożej – Tej, która daje Chrystusa, która jest Opiekunką, Żywicielką.

Ale... w mieście można zobaczyć Indian kupujących napoje, którzy pierwszy łyk wylewają dla Matki Ziemi, a dopiero potem piją, kiedy zaś wchodzi do kościoła, to oddają pokłon. To nie jest kucanie, jak u nas, albo machanie ręką, ale znak krzyża robią aż do pępka. Nieraz jestem pod wrażeniem, jak to jest u nich pielęgnowane. Kiedy wchodzi do kościoła, witają się z Matką Bożą pocałunkiem, dotknięciem sukienki czy obrazu. Muszą się przywitać tak jak z człowiekiem. Ponieważ tego nie robiłam, zwrócili mi kiedyś uwagę. Dla nich nie wystarczało, że tylko wchodziłam i mówiłam o duchowości maryjnej, potrzebowali gestów. Nas to zachwyca, że oni z taką lekkością się modlą, także mężczyźni. Lubią odprawiać nowenny. Kobieta usłyszy, że jest w stanie błogosławionym, to mężczyzna, dziękując Panu Bogu, przychodzi i mówi: „Siostrzo, będę miał w domu nowennę, przyjdą moi koledzy i będziemy się modlić. Czy siostra może przyjść i ją otworzyć?”. „Dobrze, z wielką radością”. Modlą się na różańcu, potem jest poczęstunek. Każdego dnia inny mężczyzna przynosi sok, coca colę czy jakieś ciasteczka, natomiast ostatniego dnia nowenny ten, który o nią prosił, wystawia kolację – z ryżem, z mięsem, soją, ich potrawami. Ich modlitwie zawsze towarzyszy poczęstunek. Religijność tych ludzi jest jednak bardzo emocjonalna. W każdym domu znajduje się ołtarzyk, a w nim Matka Boża i... św. Jan Paweł II. Odwiedzam chorych ze względu na chryzmat naszego zgromadzenia i widzę to w wielu domach. Cieszę się z tego, że mówią, że Polska jest ich sąsiadem. Nie mają takiego pojęcia przestrzeni, że to jednak inny kontynent, ale poprzez fakt, że jestem rodaczką Ojca Świętego, staje się im to bardzo bliskie. Zachwyca mnie to, że nie patrzą na wiarę jak na swoją prywatną sprawę. Kiedy byłam na Copa Americana i grano mecz z Argentyną, bo piłka nożna to dla nich drugi król po Panu Bogu, to pokazywali mi, że Messi ma koszulkę Matki Bożej z Gwadelupe pod swoją bluzką, w której zawsze gra. Jest też Brazylijczyk, Neymar da Silva Santos, który występuje zawsze z opaską z napisem „100% dla Jezusa”. Przyjechał do Hiszpanii i kazali mu to ściągnąć. A on na to: „Nie, nie ściągnę, bo to jest moja wiara”. Co zrobiły europejskie gazety? Zamazali tę opaskę, zostawili na głowie czarną plamę. Ten kraj europejski dał podwoje religii chrześcijańskiej na świecie, a zanika w nim wiara, a w Boliwii chrześcijaństwo jest od 500 lat (choć bardzo powierzchowne, jeżeli chodzi o głębię teologiczną)!

**Jakie są potrzeby Kościoła w Boliwii?**

Na pewno formacja dobrych katechistów. Nie takich, którzy mówią to, co chcą, albo to, czego ich nauczono. Muszą być szkoły – tak jak robi Kościół ewangelicki, który ma regularnie co tydzień spotkania biblijne. Mają

zeszyty, jak my kiedyś na oazie i notują. Wtedy coś zostaje. Potem mówi się, że protestanci znają Biblię – oczywiście, przecież ją czytają i się uczą. Tego nam brakuje. Miejscowi wszystko tłumaczą tradycją – bo babcia tak robiła, bo mama tak robiła – ale Kościół tak nie robi! Są dokumenty Kościoła, które trzeba czytać i podejść do tego z pewnym szacunkiem, bo inaczej będziemy mieli Kościół odchylony od normy. Oklaski, gitara to ich rodzaj okazywania wiary, to trzeba zostawić. Ale ją samą trzeba ugruntować.

**Jakie wspólnoty funkcjonują w parafii, w której Siostra pracuje?**

Różańcowa, Legion Maryi działający bardzo prężnie, grupy biblijne, ministranci – wiadomo, że tam są też dziewczynki. Nie wiem, jak to ojcowie redemptoryści zrobili, ale na terenie całej parafii jest aż 150 chłopców w ministranturze. Dziewczynki mają niebieskie poncza i służą swoją obecnością, natomiast przy ołtarzu są tylko chłopcy. Mamy też najróżniejsze chóry i zespoły. Kiedy kaplica już działa, nie ma takiej bez zespołu. Wchodzę do jakiegokolwiek kaplicy i pytam: „Kto gra?”. Zaraz zgłasza się jakiś chłopak, dostaje gitarę i gra. Wyciągają flety, fujarki (głównie góralskie). Tam są drzewa kwiatowe, które mają strączki jak groszek, ogromne, dochodzące do 50 cm. Wytrząsają z nich nasiona i już jest grzechotka. Weszłam kiedyś do kaplicy, a oni zrobili muzykę z grzechotkami. Każdy, kto ma tam duszę artysty, gra. W górach się głównie gra na instrumentach dmuchanych i to różnego rodzaju: do maszerowania, do śpiewania, a w tropiku i na nizinach na strunowych. Tłumaczą to tak, że w górach nie ma ptaków, dlatego często ludzie grali na fletach, aby rekompensować sobie ten brak. A w tropiku od zawsze były obecne harfa, kontrabas, wiolonczela – kto by pomyślał, prawda? I posługują się nutami barokowymi, zupełnie innymi, niż teraz.

**Czy są też grupy charyzmatyczne?**

Można powiedzieć, że w kościele bogatym. W Santa Cruz, w tym trzymilionowym mieście, które ma zaledwie 70 lat, są 50-letnie kościoły, utrzymane z kulturą i sztuki, i tam właśnie działają grupy charyzmatyczne. Ludzie, którzy mają pieniądze, uczestniczą w takich spotkaniach. Śpiewają, adorują Pana Jezusa i jest to im bardzo potrzebne i bardzo bliskie. Przyjeżdżają do nich ojcowie z Kolumbii, którzy mają przepowiadania, tłumaczą z greki, dlaczego Pan Jezus tak powiedział. Prosty człowiek tego nie zrozumie, na takie spotkanie przychodzi ktoś, kto ma podstawy nie tylko wiary, ale i wiedzy. Pracując w kaplicy, wprowadziłam jednak i takie elementy. Po rozmowach i spotkaniach charyzmatycznych w



centrum miasta zawiązała się grupa muzyczna i druga, która towarzyszy modlitwą. Zawsze staram się, żeby wcześniej było jakieś przepowiadanie na podstawie Ewangelii – nie było tylko śpiewanie dla śpiewania i piękne modlitwy, ale żeby ludzie rozumieli trochę głębiej, czym jest Eucharystia. Trzeba dorastać do tego, żeby pojąć, że Pan Jezus do nas przychodzi pod postacią chleba. Próbuje ściągać ludzi z różnych kaplic. Są też tacy, którzy sami szukają czegoś więcej. Grupy charyzmatyczne działają zwykle bardzo prężnie przy zakonach – dominikańskich czy franciszkańskich.



**Zadziwia mnie – bo tu oglądamy zdjęcia – ilu młodych ludzi jest obecnych w kościele.**

Tak, ten Kościół jest młody, tak jak mówi Ojciec Święty. Niestety, służba zdrowia jest tam na takim poziomie, że jeśli jesteś chory, musisz mieć pieniądze na leczenie. Nie masz ich – idziesz do domu i umierasz. W ciągu miesiąca odprowadzamy na tamten świat około 20 osób. To jest też nasza praca w duchu założycielek, bo jesteśmy posłane do chorych. Druga sprawa to katechizacja – możemy nią objąć całą rodzinę. Nie tylko babcię, która jest chora, ale i dzieci. Możemy przy okazji odwiedzin spytać ich, czy mają sakramenty, czy chodzą na religię, czy wierzą, czy w ogóle tego pragną. Od tego się zaczyna – bardzo dużo parafian mamy przez wizytowanie chorych. Ewangelia dotarła do nich przez to, że chodziliśmy do babci przez trzy miesiące i modliliśmy się z nią. Przyjęła sakrament, a Pan Jezus działał. Zawsze zapraszamy domowników na modlitwę, czytamy Słowo Boże, nieraz przyjdą także sąsiedzi i ta osoba ma dobrą śmierć. Nie przez eutanazję czy w szpitalu na OIOM-ie bez kogokolwiek z rodziny, gdzie nikt nie trzyma jej za rękę, ale wśród swoich. Konająca babcia i z nią razem w łóżku pięcioro małych dzieci – często mam taki widok. Oni są bardzo rodzinni, rodzina jest dla nich na pierwszym miejscu, dlatego też lubią przychodzić do kościoła, do grup. Są one wypełnieniem rodziny. Cokolwiek ogłoszę, jest wielu chętnych. Pewnie, że się spóźniają, są bałaganiarscy, natomiast jeśli chodzi o społeczne akcje, są w stanie

zebrać się i przyjść. W niedzielę kobiety od rana przyrządzają obiady, w południe je sprzedają – nieraz wydają po 400-500 porcji – i te pieniądze idą na remont kaplicy. Oni są bardzo społeczni i od Kościoła także wymagają takiej obecności. Tam, gdzie mieszkam, moja przełożona, siostra Ana, ma punkt medyczny. Mierzy cukier, ciśnienie, ale ludzie przychodzą też po to, żeby wypowiedzieć swoje problemy. Umieralność jest, niestety, wielka, bo nie dbają o higienę, wielu spraw są nieraz nieświadomi. Często do parafii przychodzi lekarz i wyjaśnia im np. jakie są zagrożenia po ugryzieniu kleszcza.

**Jak wygląda życie przeciętnej rodziny w Boliwii?**

Na przykładzie z mojej kaplicy mogę powiedzieć, że są to rodziny głównie wielodzietne, w których jest ośmioro i więcej dzieci. Mężczyzna to jest macho, żądny władzy, a kobieta musi być przy nim. Niestety, jest wiele zrad. Mężczyźni mają gdzieś jeszcze jedną kobietę, z którą mają dzieci. To wychodzi na jaw w późniejszym czasie, gdy nastolatki zaczynają szukać taty. Kobiety pracują tam bardzo dużo, po 10-15 godzin, choć zawsze też jakaś babcia czy ciocia im pomaga. Tam jest kolorowo i dużo dzieci. Gdy się wejdzie do domu, trzeba zapytać, od kogo oni są, bo żyją w dużych klanach. To pewnie pozostałość po życiu plemiennym. Dbają głównie o to, żeby byli najedzeni, ubranie nie jest już tak ważne. Co do edukacji, to nie mają takich wyższych potrzeb, żeby czegoś się dowiedzieć. Książek tam w ogóle nie ma. Dla nas to też duży przeskok. W wielu domach nie ma lodówek, żelazka, elektryczności.

Głową rodziny zawsze jest ojciec i wszyscy pójdą za nim, choćby był alkoholikiem czy ich bił, bo to jest tata, nie powiedzą na niego nic złego. To są bardzo silne więzi. Jeśli przychodzi ktoś do klasztoru czy do kapłaństwa, to zawsze chce dzięki temu zdobyć coś dla rodziny, nie umie tego odłączyć. Motorem religijnym w domu jest matka: ona uczy pacierza, prowadzi do kościoła. Boliwijczycy są nastawieni na fiesty. Wtedy macho się ubierze, pójdzie z kobietą, żeby się pokazać i bierze ze sobą wszystkie dzieci. Jeżeli chodzi o góry, to mężczyzna rzadko tam bywa w domu, bo uprawia pola bardzo daleko albo zarabia pracą w kopalni. Wtedy jego rolę przejmuje najstarszy syn albo pierwszy zięć – w domu zawsze musi być dowódca. Są też bardzo brutalni, pojawia się dużo sytuacji wykorzystywania seksualnego dziewczynek, co w dodatku nie jest karalne. Pierwszy pokój w domu to wspólna sypialnia. W górach nawet nie ma łóżek, są klepiska. To wszystko nie sprzyja czystości i mówieniu o wyższej wartości, jaką jest miłość. Nie ma też domów dziecka, ponieważ kiedy matka umiera, przychodzi jakaś matka chrzestna, ciocia, siostra i bierze te dzieci do siebie. Nie istnieje problem sieroctwa, to nie kosztuje państwa. Na pewno opiekują się nimi na swój sposób, choć oczywiście u nas to by inaczej wyglądało.

**Chciałam jeszcze zapytać o ewangelizację w dżungli. Mówiła Siostra, że to niebezpieczne, ale pasjonujące zadanie. Jak ono wygląda?**

Jeśli ktoś oglądał film *Misja*, to może mieć pewne wyobrażenie, z tym że tubylcy w tej chwili nie noszą przepasek, tylko normalne ubrania. Słyszałam, że Amerykanie od czasu do czasu zrzucają im samolotami paczki i dzięki temu je mają, bo to jest fizycznie niemożliwe wozic je tak głęboko w dżunglę. Te wyjazdy są bardzo interesujące ze względu na przyrodę, bo wiadomo, że w mieście nie zobaczę krokodyla czy tygrysa. Bywają też niebezpieczne. Od strony duchowej dla ewangelizatora jest to niesamowite spotkanie, ponieważ oni mówią w swoim języku: guarayos, chiquitanos czy też mojos – zależnie od plemienia. Z tego względu muszę mieć ze sobą katechistę, który

będzie tłumaczył. Wszystko jest tajemnicą, ponieważ to są ludzie dzicy, dla obcego potrzebują czasu, którego nie mamy, bo przyjechalibyśmy np. tylko na dwa tygodnie. Nie mają też narzędzi. Kiedy ksiądz budował im kaplicę, musiał je ze sobą przywieźć. Potrzebna jest im też taka pomoc. Dzięki niej zauważają, że świat porusza się dalej. Jeden zakonnik opowiadał, że przywiózł kiedyś telewizor. Ta wioska miała agregat, więc wymyślił, że będzie miał zajęcia z dorosłymi, przygotowanie do celebracji, a w tym czasie dzieci się czymś zajmą i nie będą przeszkadzały rodzicom. Podłączył więc telewizor i okazało się, że one w ogóle nie wiedzą, co to jest obraz. Reksio skakał, oni go łapali,



pukali, żeby sprawdzić, skąd wychodzi głos. Prawie że rozwalili sprzęt. Przez ewangelizację dostarczamy im trochę cywilizacji. Przyjazd z dżungli do miasta jest dla nich trudny. Zderzają się z inną naturą, innym jedzeniem.

Byłam zaproszona do wioski, by celebrować Słowo Boże. Mamy takie nastawienie pracocholika: to trzeba wykonać. A oni mówią: nie – musisz najpierw spotkać się z nami, odwiedzić wszystkich. Nie było ich dużo, raptem 200 osób, kilkanaście domów. Wróciłam po dwóch godzinach i zobaczyłam stół, w którym były wgłębienia wielkości naszych talerzy – nie mieli takich naczyń! – i tam nalaną zupę. Patrzyłam na nich z przerażeniem, ale jadłam. Do zupy wpadła jakaś mucha czy komar i już byłam wystraszona, że za chwilę dostanę gorączki, ale wiedziałam, że nie mogę dać tego po sobie poznać, jednak jakaś starszuszka to wyczuła. Podziękowałam, trochę zostawiłam, a



ona podeszła i powiedziała: „Siostra to misjonarzem jeszcze nie jest”. „Jak to, przecież przyjechałam z tak daleka” – i staram się swoją osobę przedstawić, a ona na to żartem: „Nie, nie, bo prawdziwy misjonarz sam szuka much, wrzuca do zupy i je”. Czyli nie boi się niczego, a ja jeszcze miałam dystans do wszystkiego, widziałam to w czarnych barwach. Przyjechałam z takiej wielkiej cywilizacji, że u prostych ludzi nie mogłam się pierwszego czy drugiego dnia odnaleźć. Nie miałam telefonu czy Wi-Fi – żadnego kontaktu ze światem. Nie było tam energii, trzeba więc iść szybko spać, bo robi się ciemno. Wszędzie komary – kiedy włożyłam latarkę w moskitierę, to leciały do niej jak do lepu. Gdybym ją ściągnęła, to by mnie zażarły. Po nocy przespanej na klepisku wszystko mnie bolało, więc potem poszłam spać do łódki. Zaproszono mnie na obiad, pomodliliśmy się, a gospodyni powiedziała: „Wyciągaj ręce”. Zrobiłam to i w jedną dostałam mięso, a w drugą maniok. Nie było talerza, więc włożono mi to w ręce. Oglądałam się za krzesłem, a tu nic nie było. Dzieci siedziały na progach, opierały się o ścianę, więc sama też to robiłam, ale zanim zdążyłam, już miałam tylko kość w ręku. Gdy oni za chwilę zapytają, co jadłam, to nie będę wiedzieć. Oni czynią długą refleksję nawet nad swoim jedzeniem, że to jest maniok, z czego on się składa, czy smakował, a my jemy i nie zastanawiamy się nad tym. Dla mnie to wszystko było tak inne. Zauważyłam, że nie pytamy siebie o proste rzeczy. Cywilizowany świat pędzi tak, że się gubimy i widzimy, że ubodzy w duchu pierwsi będą widzieć Pana Jezusa, bo nam wszystko przeszkadza, jesteśmy niecierpliwi. Jesteśmy już tak wkręceni w ten świat, że

ciężko jest żyć. Dwa tygodnie bez cywilizacji, bez sprzętów – to było trudne. A oni sobie radzą. Nieraz myślę, że wcale nas nie potrzebują. Cieszą się, że jesteśmy, ale tak naprawdę żyją swoim życiem. Nie będą siedzieć na krześle, bo go nie potrzebują. Rośnie młode pokolenie, które posługuje się zeszytem na jednym sznurku, w którym wszystko zapisują, malują, a jak nie ma już miejsca, to i tak wcisną literki. To jest całe ich życie, a my musimy mieć wszystko poukładane. Oni nie mają szaf, garderoby czy salonów. Tropik jest specyficzny, żyją w nim ludzie radośni, hojni, życzliwi, gościnni. Przyjmą siostrę czy księdza, tym bardziej, że siostra to matka, a ksiądz to ojciec – widzą w ich osobach błogosławieństwo, to, że przynoszą im Pana Boga.

Natomiast kiedy z księżmi idziemy w góry, jest zupełnie inaczej. Tam ludzie są nieufni, w życiu nie wpuszczą obcych nawet po tygodniu, a do ich domu nie wejdiesz. Żyją w jeszcze gorszych warunkach, także atmosferycznych, co się przekłada na ich funkcjonowanie. W tropiku mają wszystko: warzywa, owoce, a tam jest lita skała. Robią sobie jakieś poletka, sadzą maniok, zwierzęta ich grzeją, bo noce są zimne. Zupełnie inaczej wygląda tam ewangelizacja. Do niektórych wiosek księża trafiają po 20 latach, żeby odprawić mszę świętą. Trzeba poczekać na mieszkańców dwie, trzy godziny, aż zejda z gór, gdy usłyszą dzwon – to jest znak, że przyszedł Bóg, że jest ktoś, kto będzie się z nimi modlił. To jest dla nich bardzo wzruszające, bo czekali na kapłana. W szkole jest religia, prowadzą ją świeccy w języku keczua albo imara. Wszystkich celebracji ksiądz uczy w miejscowym języku, bo coś innego byłoby dla nich niezrozumiałe. Oni się nie uczą hiszpańskiego – co innego w tropiku, bo to jednak jest bliżej miasta.

**Dziękuję za tę niezwykle pasjonującą opowieść. Z mojej strony mogę tylko życzyć Siostrze wielu owoców pracy misyjnej. Niech Pan Jezus błogosławi, przyprowadza odpowiednich ludzi i daje dobre natchnienia, żeby to, co Siostra robi, owocowało i trwało wśród tych ludzi. Bóg zapłać.**

**Toruń, 28 lipca 2016 r.  
Wywiad został autoryzowany. Zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów s. Violety.**

## NASZA OFERTA WYDAWNICZA

### REKOLEKCJE CHARYZMATYCZNE KS. JOHN BASHOBORA

- Bądźcie miłosierni, jak Ojciec...

MP3

DVD

MARIA VADIA ● Moc uwielbienia

### O. JÓZEF WITKO OFM

- Uzdrawiająca moc przebaczenia
- Pan jest z Tobą, dzielny wojowniku!
- Błogosławieństwo i przekleństwo
- Doświadczenie Ducha Świętego

### O. ENRIQUE PORCU I O. ANTONELLO CADEDDU

- Duch Święty zstąpi na was i otrzymacie Jego moc
- ... szukajcie tego, co w górze
- Nie dał nam Bóg ducha bojaźni...

### KS. PIOTR GLAS

- Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, żeby już zapłonął



## Dwumiesięcznik „Poślanie”

ciekawe artykuły **świadczenia**  
wywiady konferencje

### W ostatnim numerze m.in.:

Dałam się poprowadzić na głębokie wody  
Nowe wino do nowych bukłaków  
Nasz język ma wielką moc

## ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY

Pismo można zamówić telefonicznie, mailowo, listownie, a także w naszym sklepie internetowym. Następnie należy wpłacić na nasze konto podaną kwotę (cena za pismo + koszty przesyłki). Po otrzymaniu wpłaty zrealizujemy Państwa zamówienie.

Opłata za prenumeratę półroczną: **13,50 zł** (+ koszty przesyłki)  
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **19,50 zł**)  
Opłata za prenumeratę roczną: **27,00 zł** (+ koszty przesyłki)  
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **39,00 zł**)

KOSZTY PRZESYŁKI:

ilość egzemplarzy	koszt przesyłki
1 - 3	2 zł
4 - 9	4 zł
10 i więcej	7 zł



## Katolickie Stowarzyszenie Ewangelizacyjne „Poślanie”

skr. pocztowa nr 100, 87-101 Toruń 3

e-mail: sklep@poslanie.pl www.poslanie.pl

tel. 724 171 870 (pon. - pt. w godz. 9:00-17:00)

nr konta bankowego: PKO BP SA 40 1020 5011 0000 9402 0296 5739



*Modlitwa jest przyjacielskim spotkaniem z Bogiem, o którym wiem, że mnie kocha.  
Nie polega ona na wielkim myśleniu, lecz na wielkiej miłości.*

św. Teresa z Avila